E 379

3

JULJAN TUWIM • JARMARK RYMÓW

TEGOŻ AUTORA:

WIERSZE

RZECZ CZARNOLESKA, wyd. II
BIBLJA CYGAŃSKA, wyd. II

PRZEKŁADY

Liryka rosyjska, tom I:
BALMONT I BRIUSOW
Majakowski: OBŁOK W SPODNIACH
Puszkin: JEŹDZIEC MIEDZIANY
(z rozprawą prof. Wacława Lednickiego)
Rimbaud: POEZJE
(wspólnie z J. Iwaszkiewiczem i inn.)
SŁOWO O WYPRAWIE IGORA
(ze wstępem i komentarzami prof. Aleksandra Brücknera)

STUDJA OBYCZAJOWE

CZARY I CZARTY POLSKIE
oraz WYPISY CZARNOKSIĘSKIE
POLSKI SŁOWNIK PIJACKI I ANTOLOGJA BACHICZNA

W PRZYGOTOWANIU

Puszkin: WYBÓR WIERSZY
FRASZKA POLSKA (antologja)
WETY PARNASKIE
DZIEWIĄTY TOM WIERSZY
POEZJA ROSYJSKA W. XIX

JULJAN TUWIM

JARMARK RYMÓW

E 379

WYDANIE DRUGIE

Biblioteka i Muzeum
Zw. Nar. Pol. w St. Zjed. P. A.
Chicago, Ill.

WYDAWNICTWO J. PRZEWORSKIEGO

OKŁADKA I RYSUNKI PIKA

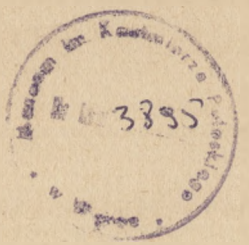

1 9 3 5
ZAKŁADY DRUKARSKIE F. WYSZYŃSKI I S-KA, WARSZAWA

OD AUTORA

Tytuł i arcybarwny konterfekt autora na okładce (trafiony zresztą co do joty! tak właśnie wygląda i tak się nosi) dają dostateczne świadectwo o charakterze tej książki: że nie jest ona nowym, kolejnym zbiorem wierszy „lirycznych", jak je literacka terminologja nazywa, wierszy, których od „Czyhania na Boga" do „Biblji cygańskiej" było dotychczas siedem tomików.

„Jarmark rymów" zawiera wybór utworów z innego ducha i w innym klimacie poetyckim poczętych a na przestrzeni dwudziestu lat pisanych. Trudno oczywiście o całkiem ścisłą granicę pomiędzy tym a tamtym „rodzajem": są napewno w dawnych tomach wiersze, któreby raczej do tego zbioru wejść mogły, są też i tutaj nieliczne utwory, dla których znalazłoby się w poprzednich książkach miejsce. Przeważają tu naogół rzeczy satyryczne (znów chwiejny i rozciągły termin!), często z przebrzmiałą nutą aktualności związane, niekiedy zaś z dłuższym i trwalszym zasięgiem. Parę z nich, ale nie więcej niż palców u ręki, mówiono lub śpiewano niegdyś na estradach teatrzyków warszawskich. Zaznaczam to dlatego, aby wyraźnie podkreślić, że nie znajdzie tu czytelnik ani t. zw. „numerów kabaretowych" ani

tekstów Szopek „Pikadora“ i „Cyrulika Warszawskiego“, których wspólnie z przyjaciółmi dużo się napisało.

Zamyka książkę kilka feljetonów i humoresek prozą pisanych.

J. T.

Warszawa, marzec 1934.

1

POETO!

Poeto! rozpruj krewnym bety i pierzyny!
„Foteliki“, „gablotki“ — przez okno, o bruk!
Piruetami rozpląsanych nóg
Wystukuj anapesty na szczęce rodziny.

Poeto! kup czerwony ołówek w sklepiku
I przekreśl nim, jak cenzor, sklepikarską twarz!
Skonfiskowaną mordę gdy odetniesz — zważ
I wywieś, jak zająca, przed sklepem na stryku.

Poeto! śród wykwintnej nobliwej zabawy
Bądź miłym gentlemanem, lekki dyskurs tocz;
Ale nagle zgaś światło, małpą na stół wskocz,
Ugryź prezesa w ucho i grobowo zawyj!

Poeto! jest czterysta miljonów chińczyków,
To nie żarty. To dziesięć atlantyków krwi.
Zawiadom o tem, w piorun załamując brwi,
Mitologiczne ciotki i wujów assyryjczyków.

Poeto! u strażaków wypożycz drabinę,
Przystaw ją gdzie należy (Złota 8... wiesz),
Wejdź nocą — i za szybą milczkiem zęby szczerz;
Zauważ, jaką będzie miał Grydzewski minę.

Pozatem, gdy ci serce zapłacze z tęsknoty,
Możesz pałyczeć, krumskać, skobrować i kmić,
Sąbrzyć, wichatać, rumczeć, ulpansonić, brtyć...
Widzisz, miły poeto, ile masz roboty!

Julian Tuwim

PAMIĘCI POETY

Poeto! kiedy głos twej pieśni
Śmierć przerwie na najwyższym tonie,
Kiedy cię w kwiecie lat, za wcześnie,
Zniecierpliwiony los pochłonie,

Kto się potężnych dni zachodem
Do głębin serca szczerze wzruszy?
Kto nad straconem życiem młodem
Odezwie się westchnieniem duszy?

Kto grób twój łzawym zrosi zdrojem
I nad zamilkłą Aonidą
Kto nieobłudną panichidą
Uczci, szlochając, prochy twoje?

Nikt! tylko Zoil z długą szyją
Złoży martwemu hymn pochwalny
I zacznie kadzić, piejąc psalmy,
Żeby dokuczyć tym, co żyją.

(z Boratyńskiego)

SPLEEN

Ze znudzenia, ze znużenia
Pusto, sennie, mdło.
Neurocholja? melanstenja?
Djabli wiedzą co.

Gdybyż w innej być mieścinie,
Bo w Warszawie źle...
W Pajtuliszkach? w Bambierzynie?...
Djabli wiedzą gdzie.

Byłoby też doskonale
Lata puścić wspak.
Chętniebym to zrobił, ale
Djabli wiedzą jak?

Zająćby się jakąś... pracją...
Mracją... czy ja wiem?
Pempologją? alansacją?
Djabli wiedzą czem.

Siadłbym z jakim byczym chłopem,
Pogawędziłbym,
Z księdzem? żydem? czartem? popem?
Djabli wiedzą z kim.

Może wylazłby z rozmowy
Jakiś zdrowy sąd?
Może z serca, może z głowy,
Djabli wiedzą skąd.

Ziewam, dumam żałośliwie,
Że... że co? że pstro?
Owszem, może... Lecz właściwie
Djabli wiedzą co.

BŁAGANIE

Ustrzeż mnie, obroń
Od ognia, głodu i moru,
Od rodzimego humoru,
Od proletarjackiej poezji,
Od Männergesangvereinów z poznańskiej
archidjecezji,
Od teatromanów, yogów, szaradzistów,
Od arystokratów ducha i essayistów,
Od autorów „szkiców“ i „bluetek“,
Od Zachęty, krewnych i chórów z operetek,
Od dusz artystycznych i obiecujących talentów,
Od „Wiadomości Literackich“ abonentów,
Od wiercikuprów, titin, dziwek szczebietliwych
Od izraelickich inteligentów i socjałów nobliwych,
Od patrjotycznych cyklistów i wioślarzy,
Od pisujących wiersze malarzy,
Od starych skautów, od słuchania „Roty“,
Od znawcy literatury i ciężkiego idjoty,
Od „Zwrotnicy“ i od sztuki góralskiej,
Od aktorów z pseudonimami: Wirski, Gromicz,
Malski,
Od subtelnych feljetonistów,
Od psychoanalityków i footbalistów,
Od „przysiadających się“ do stolika,
Od spinki do sztywnego kołnierzyka,
Od studenckich dowcipów, komedjowych amantów,
Od żydowskich szlagonów i korporantów,
Od scen amatorskich,

Od poetów pomorskich,
Od miłośników, bywalców i ulubieńców,
Od mówiących „sakpalto“ młodzieńców,
Od nagłej kwesty.
Od szoferów nie mających reszty,
Od szczura w prewecie,
Od recenzji w „Świecie“,
Od życia świadomego,
Od Grydza zaperzonego,
Od kuchni postnej,
Od zapalenia okostnej,
Od wszelkich wrzodów i pryszczów,
Od tych, co piszą „Tuwin“ a mówią „mistrzu!“.
Od ości w gardle,
Od supła w sznurowadle,
Od sprawy honorowej,
Od pani . . . . . owej,
Od próśb o protekcję u rządu
Od „Małego Naszego Przeglądu“,
Od rozmowy z panem A.,
B., C., D., E., F., G., H.,
I., J., K., P., R., S., U.,
T., Z., L., Ł., M., N., W.,
Od słów „kwef“, „smęt“, „kruż“ i „chram“,
Od tłumaczących powieści dam,
Od męki dni powszednich i nudy niedzielnej
Ustrzeż mnie, wielki, mocny Boże nieśmiertelny!

DYSKUSJA

Ostro urżnęliśmy się czystą
Władek i ja.
Władek jest twardym komunistą
Gdy w czubie ma.

Jak piłki, tak przy głowie głowa,
Pijane w pień,
Po białych płotach Czerniakowa
Hula mój cień.

Zabiega naprzód, plackiem leży,
Usłużny tchórz...
I nagle — za mną; zęby szczerzy,
A w ręku nóż.

Księżulo z nieba — zezowate
Spojrzenia śle.
Więc może optyka? gra świateł?
A może nie.

Może nie księżyc? Może rybak
Z gwiaździstych stron?
A Władzio mi o kolektywach!
A won!!

Że industrjalizacja? Racja.
Pożytek z niej.
Indus — rozumiem. Trjalizacja —
Już mniej.

PIERWSZA KOLACJA W PENSJONACIE

Cztery paniusie jędzowate
Dziobią nosami filiżanki
I przyglądają się zjadliwie
Butelce wina na mym stole.

Panna Mimosenduft z Tarnowa
Omdlewające ma spojrzenie
I głośno mówi z panem Pinklem
O „Wiadomościach Literackich".

Dyrektor z Pszczyny promienieje
I wylizując sos z talerza
Czyta w kurjerku z satysfakcją
Matrymonjalne ogłoszenia.

Lecz Kolasiński z Częstochowy
Jest tutaj duszą towarzystwa!
W rodzinnem mieście swem ten młodzian
Musi być pierwszym bilardzistą.

Z jaką piekielną gracją nosi
Ten ulubieniec dam miejscowych
Barwną chusteczkę batikową
W bocznej kieszonce marynarki!

Z jaką dystynkcją tudzież swadą
Wygłasza lotne aforyzmy:
„Taniec, faktycznie, proszę pani,
Obecnie sportem jest poniekąd".

Panna Mimosenduft żarłocznie
Świdruje wzrokiem tytuł książki
Na moim stole. Wreszcie szepce
Do pana Pinkla: „Klub Picwica".

Wielką sensację w towarzystwie
(Sensację i rozczarowanie)
Budzą me skromne słowa: „Proszę
Jeszcze kawałek chleba z masłem".

Panna Mimosenduft szaleje:
„Co on powiedział? Co powiedział?"
Pinkel z uśmiechem pobłażliwym
Powtarza: „On chce chleba z masłem".

Cztery paniusie jędzowate
Dziobią nosami i gadają:
„Wiersze wierszamy, moja pani,
A żyd — czytałam sama w prasie!"

A po kolacji biegnie za mną
Pinkel w binoklach i powiada:
„Przepraszam, zdaje się pan Tuwim?
Pozwoli pan, że się przedstawię...".

SEMI-EROS

(Wrażenia z podróży)

Wyfioczone semitki
Berlińskie judejki,
Wiedeńskie izraelitki,
Subtelne Salomejki,
Wykwintne sulamitki,
Sodomitki i gomorejki,
Omdlewające lesbijki,
Sarońskie lilijki,
Haremowe zulejki, —
Skaczą koło nich żydki,
Z żydków mają pożytki,
Żydki dają na zbytki,
Ale wolą aryjki,
Więc mizdrzą się bestyjki:
Tuczą sobie łydki,
Bielą giętkie szyjki,
Różują ryjki:
Kleopatrusie, Dalilijki,
Rebeki, Sarcie, Lilithki,
Starozakonne żmijki,
Salomonowe midinetki,
King David girls z operetki,
Esterotyczne orchidejki,
Coś z Rafaela... coś z Cwejki...
Ach, żydowskie kobitki,
Ach, paneuropejki,

3895

Bankierskie afrodytki,
Berlińskie assyryjki,
Wiedeńskie dahomejki,
Powiedziałbym wam, judytki,
Powiedziałbym, o! hebrejki,
Biblijne koryfejki,
Powiedziałbym wyraz brzydki,
Ale mi wstyd, bo...
..... każdy gbur wie,
..... głowy nie urwał:
..... żydowskiej k...ie,
..... żydowska k...a.

WIELKI TRAKTAMENT DLA MĘDRCA TADEUSZA BOY'A

W którymś tam życia swego lecie
Winem do syta napoiony,
Ni źrały mąż ni puste dziecię,
Mimo, iż ciężko doświadczony
Kaźnią, ścirpianą z ręki krwawey
Beauprego pana Antoniego,
Siadłeś tu pełen czci y sławy...
Mnie ta nie będziesz za świętego.

Pikardzki pacierz ci ukropię!
Nie znasz go? Widzisz mi niezgułę!
To wracay na naukę, chłopie,
Do siestry Francji lub do Due.
Nie taki dzisiaj jubileusz,
By się przed tobą w słowie puszyć!
Znamy cię, coś ty za Tadeusz,
Jak sobie lubisz poświntuszyć!

Gdybych swobodnie mógł folgować
Rozświerzbionemu jęzorowi,
Takie naszeptać w uszko słowa-ć,
Jako Małgośka Villonowi!
I tako rzec ci, z bebechami,
To co od serca w krwie mej płynie,
Byś rzewnie zalał się ślozami:
„Ach, gdzież są niegdysieysze świnie?"

Bywało-ci onego czasu,
Iż rzeczy nazywano iście,
O nich psalmista z Czarnolasu
Kropił pod lipą najsoczyściej.
Item Potocki! Ten ci smakosz
Mało rzec: świnił — ale wieprzył!
Jadał korzennie, gadał takoż
I pełną garścią mowę pieprzył.

Item i Fredro — Lubomirę,
Czy jak ją zwano, piewał smacznie,
A dziś o byle pindę, ździrę
Zaraz się gwałt i proces zacznie.
Owaby rzecz się tutaj zdała!
Ów hrabia uczciłby cię godnie!
Takby przygadał, że Grzymała
Leżałby krzyżem trzy tygodnie.

Bo jakiejż innej dziś materyey
Chwytać się w mowie, Boyu dobry?
Wspominać, gdzie jest graf Owerniey
Lub Artus, diuk Bretaniey chrobry?
Ultramaryna! Fiume, bracie!
O tem niech gada, kto się uprze.
A jabych tobie, jubilacie,
Tylko o jednem! — o tym kuprze!

Ale uczciwszy obyczaje,
Milknę, mistrzuniu, na półsłowie
I chociaż mi się serce kraje,
Rzeczy z imienia nie wypowiem.

Xiążę! Lecz niechaj kronikarze
Zapiszą, iż na twoje święto
Wraz z sercem, któreć składam w darze,
I kupra też nie pominięto.

Wiersz wygłoszony na bankiecie PEN Clubu dla Boy'a.

Antoni Beaupré — redaktor „Czasu", z którym Boy się procesował.

NA ZBYTNIE A NIEPOWŚCIĄGLIWE DZIWKOCHWALSTWO NASZEGO WIEKU

Zanadto się z damą cacka
Szarmancka brać literacka.

Szmatławce i szewaljery
Prawią jej same dusery.

Dochodzą już do przesady
Te kąplemęty, lansady.

Te sętymęty, czułości
Przyprawić mogą o mdłości.

Mizdrzy się w gracji i szyku
Cicisbey przy wersalczyku.

Dla byle kapryśnej idjotki
Madrygał ułoży słodki.

Dla paru od wiersza groszy
Płaszczy się, mdleje z rozkoszy.

Wpadają w achy i ochy
Na widok pończochy pieszczochy.

Piszczą „sylwuple, żewupry!“
Bałwany i wiercikupry.

Na widok pyjamy damy
Piszą te chamy reklamy.

Dlaczego chwycił szał cię,
Gdyś ujrzał kretynkę w aucie?

Czego się cieszysz, Mojsie,
Że dziwka siedzi w Rolls-Roysie?

„Urocza Bebi Pipi
W yachcie na Mississipi".

„Zmysłowa Dudu Papa,
Jej uśmiech, pies i kanapa".

„Fertyczna Elli Belli
Pije kawę w kąpieli".

Czego migdalisz się, chłopie?
Że dziwka kawsko żłopie?

Że w wannie niby? To o to
Tak się wygłupiasz, idjoto?

Sam lepiej idź do łaźni
I już się więcej nie błaźnij.

PODŚWIADOMOŚĆ

W skwar, w upał płomienno-biały,
Tchnący patosem mistycznym,
Odczytywano referat
W kole filozoficznem.

Odczytywano referat
„O jaźni podświadomości",
W skwar, w upał płomienno-biały,
Tchnący pożarem białości.

Czytała go koleżanka
Z piersią wypukło-burzliwą,
Z biodrami, co siewcom zdarnym
Plenne wróżyłyby żniwo.

Z jej ust drastycznie wyciętych,
Z jej ust czereśnio-wiśniowych
Padały zdania o jaźni
I o abstrakcjach jaźniowych.

I prawił długo o duszy
W terminach mądrych i szczytnych
Ów kompleks ramion, biódr gibkich,
Piersi i ud aksamitnych.

A gdy skończyła część pierwszą
(„O podświadomym podstanie"),

Spytała zgoła poważnie:
„Jakie kolegi jest zdanie?“

A ja w jej oczy zamglone
Wzrokiem żarliwym spoglądam
I mówię szeptem, dobitnie:
„Ja ko-le-żan-ki po-żąąą-dam“.

(1917)

SIC!

Szła Nowym Światem z pieskiem
(Ratlerek. Wabił się „Smyk"),
Oczy miała niebieskie,
A piesek — czarne (sic).

Widzę — dziewczyna klasa,
I wdzięk i urok i szyk...
— „Przepraszam, jaka to rasa?"
Odrzekła: „Ratler" (sic).

— „Ratler? To dziwne", wtrącam,
„Myślałem, że Fiat lub Buick"...
Mrużąc oczęta od słońca
Szepnęła: „Możliwe"... (sic).

Chwyciłem dziewczę za biodro
(Mój stały nerwowy tik),
Spojrzała słodko i modro,
A piesek — zaszczekał (sic).

— „Czy chcesz być moją?" Chciała.
Świat mi z przed oczu znikł!
Co wszystko mogą dwa ciała!
Nie licząc pieska (sic).

Chwila pędziła za chwilą:
To całus, to wódki łyk.
„Kocham cię, kocham, Marylo".
Maryla jej było (sic).

Rozkoszą nienasycony,
Jak dzik, jak żbik i jak byk
Wyłem: „Co znaczą miljony,
Kiedy mam ciebie!!“ (sic).

A miły piesek w kąciku
Uśmiechnął się na ten krzyk,
Coś sobie mruknął pocichu
I podniósł nóżkę i... (sik).

KARTKA Z DZIEJÓW LUDZKOŚCI

Spotkali się w święto o piątej przed kinem
Miejscowa idjotka z tutejszym kretynem.

Tutejsza idjotko! — rzekł kretyn miejscowy —
Czy pragniesz pójść ze mną na film przebojowy?

Miejscowa kretynka odrzekła: z ochotą,
Albowiem cię kocham, tutejszy idjoto.

Więc kretyn miejscowy uśmiechnął się słodko
I poszedł do kina z tutejszą idjotką.

Na miłem macaniu spłynęła godzinka
I była szczęśliwa miejscowa kretynka.

Aż wreszcie szepnęła: kretynie tutejszy!
Ten film, mam wrażenie, jest coraz nudniejszy.

Więc poszli na sznycel, na melbę, na winko,
Miejscowy idjota z tutejszą kretynką.

Tutejsza idjotka z kretynem miejscowym
Następnie się zwarli w uścisku zmysłowym.

W ten sposób dorobią się córki lub syna:
Idjoty, idjotki, kretynki, kretyna,

By znowu się mogli spotykać przed kinem
Tutejsza idjotka z miejscowym kretynem.

WKRÓTCE
SETNIE SIĘ
ZABAWISZ!
BUSTER
KEATON
CAPITOL
Marszałk. 125
Pocz. o g. 4
ost. 10.
Greta GARBO
w swojej najlepszej kreacji
jako KURTYZANA
w arcydziele M
„ZUZANNA
Nad progr
dodatk
dwa tygod
Fox i Para
dwie grot
4

SZATNIA TEATRALNA

Powieszono zamiast panów
Kapelusze, palta, laski,
A panowie w hucznej sali
Biją, śmiejąc się, oklaski.

O, jak lekko tym wisielcom
Gdy pozbyły się nadzienia!
Wiszą błogo, nonszalancko
Aż do końca przedstawienia.

Między czapką a kołnierzem
Wspaniałego generała
Niema głowy. Jaka szkoda,
Że tu głowa nie została!

Wyrzuciwszy tłuste ciało
Wisi futro wielkopańskie
I wspomina jak biegało
Po pustyni afrykańskiej.

Koło futra płaszcz jedwabny
W fidrygałach koronkowych
Jeszcze dyszy (przez inercję)
Od dwóch piersi balonowych.

Przy paletku profesorka
Tkwi w rękawie sweater żony,

Pod nim — mokra parasolka,
Nad nim — melon wygnieciony.

Gdy się skończy akt ostatni
Wielkim wrzaskiem finałowym,
Tłum wybiegnie — i do szatni
Szturm przypuści gorączkowy.

Ale cała garderoba
Z szumem złym opuści szatnię,
Na widownię się poczołga
I obwiśle w krzesłach klapnie.

Zmiętoszone, bezforemne
Na fotelach się rozłożą,
Martwo klaszcząc rękawami,
Dumnym się kłaniając lożom.

A tymczasem służba w szatni
Będzie wieszać panów. Niech tak
Podyndają. Niech czekają
Aż się skończy głuchy spektakl.

PLAKAT PROWINCJONALNY

Inwalida z buzią jak malina
Pod kwitnącą starą lipą siadł
I rumiane, raźne dni wspomina:
Farbowany, kalkowany świat.

Kraśny otok ma na furażerce
I drewnianą nóżkę, sztywny pion,
A pod kurtką, pod orderem, widać serce,
W sercu — domek, a w tym domku znowu on.

A na łączce, na okrągłej, na zielonej,
Hasa, pląsa hoża babcia-starowina,
Gdy kikutem stuka utoczonym
Inwalida z buzią jak malina.

Juljan Tuwim

BEZDOMNA

Ledwo ze strachu nie umarłem!
W domu,
Gdzie byłem z wizytą,
Nagle w kąt oczy wparłem:
Tuż za wygódką
Spostrzegłem skrzynkę,
A w niej
Ukrytą
Niemą, obcą, czyściutką
Morską świnkę.
Patrzyła chwilę... drugą...
Patrzyła smutnie... długo,
Czekając, czy otworzę.
Potem, już śmielsza,
Bliżej podeszła
I zapytała:
„Gdzie jest morze?".

(z Joachima Ringelnatza)

BANALNA HISTORJA

Zadzwoniła do niego rano,
Bardzo wcześnie, jeszcze przed ósmą.
W mózgu miała noc nieprzespaną
I ból, co na chwilę nie usnął.
W sercu miała ciężar rozpaczy.
Powiedziała: „Hallo, to ty?
Zaraz muszę się z tobą zobaczyć".
I po twarzy, do słuchawki, łzy.
Odpowiedział: „Co za awantura?
Nie mam czasu dziś przed obiadem,
Dobrze wiesz, że muszę iść do biura.
Uspokój się, nie lubię przesady".
Powiedziała: „Jeśli nawet nie możesz,
To koniecznie przyjdź, bo"... — „Bo co?"
Zapłakała: „Boże! Boże! Boże!"
Rzucił: „Dobrze. Tylko nie płacz. No!"
Spotkali się w pustej cukierence.
Cukiernie rano są puste.
I puste jest serce dziewczęce,
Gdy je rozpacz przepełnia, nic więcej.
Przyszedł z miną na smutno szlachetną,
(Każdy z nas to umie, gdy chce);
„Kawa, czy herbata?" — „Wszystko jedno..."
„Może ciastko?" — „Dziękuję. Nie".
„Co się stało?" Uśmiechnęła się blado:
„Co się stało? Nic... — „Więc dlaczego płaczesz?"
„Płaczę? Myślałam że się uśmiecham...
To tak trudno odróżnić czasem.

Ach, i mówić tak trudno, gdy słowa
Są te same, a czuje się różnie.
Ale ja ci zaraz powiem, wszystko powiem..."
— „Tylko proszę cię prędko, bo się spóźnię".
I zaczęła, jak wniebowzięta,
Jak w natchnieniu, chorobliwie, gorączkowo,
Dygotały nieszczęśliwe rączęta,
Kołysała się rozpalona głowa.
Nawet kelner poczuł litość dla niej
I pomyślał: „Coś tam złego jest.
Trzeba podać drugi cukier tej pani,
Bo jej kawa zgorzknieje od łez".
Co mówiła — ja nie wiem niestety.
Sądzę nawet, że to wszystko jedno.
Ale wy — wy, dziewczyny i kobiety,
Znacie dobrze tę mowę obłędną!
Gdy skończyła — spojrzała na niego
Jak pies zbity... wzrokiem oniemiałym...
— „Hm (powiedział) to nic nowego,
Już to wszystko sto razy słyszałem!"
I tu nagle — błysk w oczach dziewczyny,
Jakby ktoś ją obudził — i powiada:
„A myślałam, że to mówię, mój jedyny,
Pierwsza!! pierwsza od początku świata!!!"

— — — — — — — —

Teraz wszystko już wiemy. Naturalnie!
Bo cóż mogła innego uczynić
Jak do domu iść i najbanalniej
Małą kartkę zostawić w sypialni:
„Proszę nikogo nie winić".

ZOŚKA-WARJATKA

Po przedmieściach Warszawy chodzi wynędzniała, w strzępach i łachmanach, żebraczka, wyśpiewująca obłąkaną piosenkę o jakimś Felku. Tańczy przytem — i tańcząc płacze. Oto jej historja.

W domu pranie.

Białe kłęby pary, zaduch, plusk
Od ciemnej, siódmej zimowej godziny.
Z trudem roztapia w sobie zamroczony mózg
Guz twardy snu.
Zośka słyszy, jak syczą i człapią mydliny
I sen od farbki staje się siny
I pęka jak bańka mydlana...
Zośka, od zmęczenia pijana,
Podnosi z tapczanu głowę:
W domu pranie...
Mętne światło naftowe...
Ojciec je śniadanie...

— Gdzieś się, ścierwo, włóczyła?

Wstała, kieckę włożyła,
Pod kranem się umyła
I do miski, do łyżki.

— Żreć to umiesz!
Gdzieś się włóczyła, ścierwo?!

...Jeszcze dzwonią jej w uszach kieliszki,
Pachną owoce w winie...

— Jabym ta z nią gadała!
W pysk łupnij!
...Paprze się matka w mydlinie,
Ciepło i parno w kuchni...

A na Zośce piersi jak brzoskwinie,
A pod piersią stuka i łomoce
Rozigranej gorącości chlust!
Łajdaczyła się dwa dni i dwie noce,
Wino pachnie z rozgryzionych ust.
Trochę łokieć jeszcze Zośkę boli,
Bo się hukła o komody kant,
Gdy ją rzucił na kanapę pluszową
Ta cholera, ten spocony frant!
Dymi kwasem brunatna kapusta,
A ją mierzi już, nie może znieść,
Że tak ojcu żarcie człapie w ustach,
Że tak matka brudną wodę chlusta,
Że tu z nimi spać musi i jeść.

— Mów, psia twoja!! nad uchem jej wrzasnął,
Wstał i porwał się i prask ją w pysk,
Paska chwycił, paskiem jeszcze chlasnął,
Krzesło złapał, krzesłem Zośkę trzasnął,
Jak szpon utkwił w córce oczu błysk:
— Ja ci tu popiszczę i popłaczę,
Będziesz wiedzieć, jak po nocach pić!
Ja haruję, ty ścierwo sobacze,
A ty będziesz z chłopami się gzić?!
Matka będzie cudze brudy prała,
Będą jej paluchy puchnąć, tak?

Żeby córka z facetami latała
I foxtroty tańczyła nawznak?!

Kopnął krzesło i do miski wrócił.
A dziewczynę jakiś wstrząs podrzucił,
A dziewczynę coś za gardło ścisło,
Błyskawicą w ciemnych oczach błysło,
Coś zaczęło się we krwi rozgrzewać
I bulgotać i kipić jak war,
I rzuciło w gorączkę i żar
I zaczęła ni to mówić ni śpiewać:

— „A co? a co? możem miała z wami
Suche kluchy i chleb czarny gryźć?
Jak mnie inni karmią tłustościami,
To wolałam na zabawę iść,
Na zabawie tańczyć z fryzjerami!
Tam są wszystkie kawalery szyk,
W kolorowych kraciastych koszulach,
Każdy na mnie okiem tylko mig,
A król jeich Felek ze mną hulał!
Tłusty, pulchny, a pachnie jak róża,
A jak mówi — to oczy przymruża,
A jak tańczy — to słodko przytula
I ma wargi czerwone, ogniste,
A u niego forsy — Jezu Chryste!
Jak nie kochać fryzjerskiego króla?
A na czole ma zagięty lok,
A krawacik ma w groszki liljowe,
Komplimenty mi prawił co krok,
Niby jakiej babilońskiej królowej!

Tańczył ze mną — o tak, o tak —
Patrzcie, starzy, jak mnie w siebie wgarniał!
Zaśpiewało mi serce jak ptak,
Zamroczyła mnie ta słodka męczarnia!
I już teraz będzie tylko śpiew,
Śpiew błagalny wszechmocnemu Bogu,
By dzieciątko wydał z moich trzew!
Córka wam się puściła, psiakrew,
Ale dziwką nie będzie na rogu!
I już teraz będzie tylko tan,
Straszny taniec Zośki obłąkanej
O tem, jak mnie po tej nocy pijanej
Huknął w pysk oblubieniec mój, pan,
Król fryzjerski, Felek ukochany!!"...

I zakrążył w parnej izbie strach
I w wir porwał Zośkę-królową
I tańczyła w śmiechu i we łzach
Z opętaną, rozwichrzoną głową.
I już stali sąsiedzi w drzwiach,
Z tchem zapartym, z odjętą mową,
A królowa - fryzjerowa szła,
Szła w zawrotnym tańcu dookoła,
Zachwycona śmieje się i łka,
Pachnącego swego gacha woła.

Z izby w sień, na podwórze i — w świat!
Już na zawsze, na warjackie tańce!...
— „Miłosierni państwo, dajcie grosz
Biednej Zośce, fryzjerskiej kochance..."

NÓŻ

1

— Wielmożny panie! nie mam gdzie spać!
Noc ciemna i zimno na dworze.
Czy możesz mi nocleg u siebie dać
Choćby na słomie w oborze?
— Bracie mój! Bliźni! Jakżebyś tam
Śród bydła mógł spać na gnoju?
Dla bliźnich łoże puchowe mam
W ciepłym zacisznym pokoju.

2

— O, dobry panie! Wstyd mi tych łez,
Lecz z głodu, ach! z głodu płaczę!
Gdy trochę żarcia zostawi twój pies,
Daj mi ten ochłap sobaczy.
— Gościu mój miły! Oto jest drób,
Pieczeń, kiełbasa, zwierzyna!
Siadaj do stołu! Zaszczyt mi zrób
I napij się ze mną wina!

3

— Jakże mam z tobą do stołu siąść,
Mój dobroczyńco kochany?
Bosy, obdarty jest, panie, twój gość
I wiszą na nim łachmany.

— Weź najładniejszy z mej szafy strój
I wszystko, czego ci trzeba.
A na śniadanie masz, bracie mój,
Ten świeży bochenek chleba.

4

A kiedy północ wybiła już,
Gdy spali i pan i sługi,
Włóczęga wyjął z zanadrza nóż
Ostry, błyszczący i długi.
Nóż w jego ręku tak drżał i lśnił
Jak gwiazdy z mroźnego nieba,
Aż wreszcie podszedł i nagle — wbił
W bochenek świeżego chleba!

5

Świtem włóczęga zniknął — bo cóż?
Wyspał się, najadł... W porządku.
Lecz w świeżym chlebie zostawił nóż,
Zostawił go — na pamiątkę:
Że kto ma dom swój, stragan czy sklep,
Ten może spokojnie chrapać,
Póki nędzarze mają ten chleb,
Żeby w nim noże zatapiać!!

(z T. Botrela)

MIŁOSIERDZIE

Cóż to za zjazd niezwykły
Samochodów i karet?
Premjera? Bal? Reduta?
Może nowy kabaret?

Trąbią, krzyczą stłoczeni
Szoferzy i stangreci,
Policja gwiżdże, macha,
Ulica pędzi, leci.

Jaśnie pan, jaśnie pani,
Jaśnie państwa tysiące
Wyskakują z pojazdów
Zdyszani, w trwodze, gorączce.

Kto tylko żyw, ten bieży,
Ścisk, zator, tłumy bezbrzeżne,
Fraki, futra wspaniałe,
Cylindry, gorsy śnieżne.

Biegną damy płaczące,
Gwiazdy ekranu i sceny,
Zawodzą, na alarm wrzeszczą
Samochodowe syreny.

Kardynałowi drogę!
Policja macha, gwiżdże,
Minister skarbu zemdlał,
— Wody! policja! ministrze!

Pan premjer biegnie blady,
Rząd, władze, generalicja,
Dyplomatyczny korpus,
Magistrat, kler, policja.

Panowie z rad nadzorczych,
Prezesi banków, trustów
Z ogniem w oczach i w sercu,
W drgawkach nerwowych gestów.

Na szczyty anten włażą,
Krzyczą korespondenci,
Psy wyją do księżyca,
Nie wiedząc, co się święci.

Grzmi tłumu rosnącego
Nieustający grom,
I wszyscy na jedną ulicę,
I wszyscy przed jeden dom.

I wszyscy na jedne schody,
I wszyscy z burzą we krwi
Duszą się, depcą, tłoczą
Wszyscy do jednych drzwi.

A rzecz się stała prosta,
Najprostsza rzecz na świecie:
Biedny, cierpiący człowiek
Tak ogłosił w gazecie:

BEZROBOTNY, chory, obarczony liczną rodziną błaga litościwe serca o pomoc. Ceglana 73, m. 101.

Kiedy to przeczytali,
Zerwali się wszyscy hurmem,
Walą do jego mieszkania
Porywającym szturmem.

Bo jakże to? Bliźni cierpi,
Brat nasz, człowiek ubogi,
A my nie zawitamy
Z pociechą w jego progi?

A my nie damy bliźniemu
Pomocy, rady skutecznej,
W imię przykazań boskich,
W imię miłości wiecznej?

Już więcej nie będzie cierpiał,
Już teraz będzie mu dobrze!

— — — — — —

I — miljon złotych zebrali:
Na pogrzeb.

Julian Tuwim

AUTO

Jazda dzika, bez pamięci,
Motor pijany, ja pijany,
Wiatr w czuprynę mi się wkręcił,
Jak nietoperz opętany.

Ciął rozpędem, w niebie kąpał
Wiatr szoferów: fryzjer — kiepski,
Lecz pozatem co za kompan!
Warjat, Wiejba Zerwiłebski!

Zerwiłebski, Świstakowski,
Djabli wiedzą jak się zowie,
Brzytwą ścina bystre wioski,
Złotą strzałą pędzi w głowie.

Jak mnie za łeb złapał w mieście,
Tak nie puścił aż do miasta,
My sto prawie a on dwieście,
W usta chlusta, w oczy chlasta.

Ramię z auta! Laską w locie
Tłukłem, wesół, po chałupach,
Drrr — bębniło, jak po płocie
Po telegraficznych słupach.

Jak nie w rów, to chyba w drzewo!
Brzytwie pędu łeb na ścięcie!
Strach naprawo, śmiech na lewo,
Karczma prosto, śmierć na skręcie.

Julian Tuwim

DESZCZYK

(Wierszyk dla dzieci)

Jak wesoły miljon drobnych wilgnych muszek,
Jakby z worków szarych mokry mżący maczek,
Sypie się i skacze dżdżu wodnisty puszek,
Rośny pył jesienny, siwy kapuśniaczek.

Słabe to, maleńkie, ledwie samo kropi,
Nawet w blachy bębnić nie potrafi jeszcze,
Ot, młodziutki deszczyk, fruwające kropki,
Coby strasznie chciały być dorosłym deszczem.

Chciałyby ulewą lunąć w gromkiej burzy,
Miasto siec naukos chlustającą chłostą,
W rynnach się rozpluskać, rozlać się w kałuży,
Szyby dziobać łzawą i zawiłą ospą.

Tak to sobie marzy kapaninka biedna,
Sił ostatkiem pusząc się w ostatnim dreszczu,
Lecz cóż? spójrz: na drucie jeździ kropla jedna,
Już ją wróbel strząsnął, już po całym deszczu.

BURZA

Rok się ociągała sąsiadeczka Hanka,
Wreszcie wyszeptała: „W parku jest altanka...

Więc... rozumiesz, miły? — gdy zapadnie zmrok"...
Dłużył mi się dzionek — bardziej niż ten rok.

Młoda krew nie woda: jak zakipi — amen!
Patrzę ja na niebo, a na niebie zamęt.

W ciemne, ciężkie chmury bliski deszcz się zebrał,
Potem grzmot ponury — i lunęło z cebra.

Nachmurzyłem czoło, w sercu burza wściekła,
Djabli wzięli schadzkę przez tę słotę z piekła.

Hanka delikacik, Hance nie ochota
Wyjść za próg domostwa, kiedy taka słota.

Możeby i w gorszą burzę wyszła do mnie,
Gdyby... Lecz czy kocha mnie aż tak ogromnie?

Bez nadziei, smutny, idę przed altankę
I w altance widzę sąsiadeczkę Hankę.

Choć ją całą wyżmij, tak zmoczyło Hanię,
Długom ja osuszał moje ukochanie.

Ale od tej nocy czoła już nie chmurzę,
Tylko się uśmiecham, gdy posłyszę burzę.

(z Niekrasowa)

CHŁOPIEC STEPOWY

Przyśnił się chłopcu upiorny sen,
Że z sakwą talarów posłano go hen,
I jak go ktoś napadł, ograbił,
A potem — potem go zabił.

Pot zimny go zlewa, drży z lęku, jak liść...
Wtem majster go budzi i każe mu iść:
„Bierz sakwę talarów i — w drogę!
Lecz czemu tak drżysz? Porzuć trwogę!".

O, panie mój, panie! zabiją mnie! Ach,
Spójrz: słońce krwią spływa, więc chwycił mnie strach!" —
„Dla wszystkich to słońce tak świeci!
Ej, wstawaj a ruszaj czas leci!"

„O, panie mój, panie! te słowa już znam,
Tę twarz i te oczy widziałem już — tam!
Wnet chwycisz...". Chciał dodać: za kije...
Lecz urwał, bo pan go już bije.

„O, panie mój, panie! Już przestań mnie bić!
Już wstaję. Z pokłonem do matki mej idź!
Idź, powiedz, że znajdzie mnie ona
Nad źródłem, gdzie wierzba schylona!".

I w drogę daleką wyruszył wnet,
I stepem, co mglił się jak widmo, szedł

I wzdychał do wichru co chwila:
„O, gdybyż mój krok był jak mila!“.

Jak okiem sięgnąć — bezkresny step,
Tak cicho wokół pod pustką nieb,
I tylko w ciszy bezbrzeżnej
Żerują ptaki drapieżne.

Aż ujrzał chatkę maleńką. Z niej
Doglądał pastuch trzody swej.
Stary był pastuch nieboga...
(Wciąż rośnie w chłopczynie trwoga).

„Pasterzu stary! Nie wiem, ktoś zacz,
Lecz mam tu sześć groszy srebrnych, patrz,
Daj mi parobka na drogę;
Do wioski trafić nie mogę...

„Ja za to grosze mu swoje dam,
Niech sobie palnie gorzałki tam...
Patrz, tu mam sakwę ukrytą;
Przez nią mnie we śnie zabito!“.

Ów na drągala skinął. Ten
Kij nożem strugał. „Ach wiem już, wiem...“
I drży chłopczyna jak łania,
I twarz rękoma zasłania.

„O, mój pasterzu! ach, nie! ach, nie!
Sam pójdę raczej! Zostawcie mnie!“
A ciura tak się odzywa:
„Ej, żal mu, widać, grosiwa!“

„Ach, weźcie grosze! I rzuca je,
I szybko stepem przed siebie mknie,
Już prawie do wierzby dobiegł,
Gdy go przyłapał parobek.

„Ej, malcze! Czekaj! Nie pędź że tak!
Spiesz się pomału! Już sił ci brak!
Pewno też ciążą ci grosze!
Odpocznij, odpocznij, proszę!

„Siądźmy pod wierzbą, gdzie szemrze zdrój,
Tam mi opowiesz sen brzydki swój.
Śniłem — niech Pan Bóg mnie skara,
Czy nie ta sama nam śniła się mara!“

Za rękę go chwyta parobczak zły,
Chłopczyna się słania i roni łzy...
Szepcą cichutko listeczki,
Szmer płynie smętny od rzeczki.

„Co śniłeś?...“ — „Przyszedł człowiek...“ — „I co?
Czy to ja byłem? Gadajże, no!
Wszak widzisz mnie! A co dalej?
No, mów! Ciekawość mnie pali!“.

„I nóż wyciągnął...“‘ — „Czy taki? No?“ —
„Ten sam...“—„A potem?“—„A potem... pchnął!“
„Tak? Ostrze w gardło zanurzył?
Hej, chłopcze! Nie męcz się dłużej!“

Co dalej było — nie powiem wam,
Spytajcie ptaków, co były tam:

Kruk czarny krakał z radości,
Gołąb omdlewał z żałości.

O zbrodni kracze kruk, czarny, jak kir,
I o tem, jak zemścił się kat, krwawy zbir.
A gołąb światu rozgłosił,
Jak chłopczyk się modlił i prosił.

(z Hebbla)

GIEŁDZIARZE

Wybiegają obłędnie i w popłochu pędzą,
W nerwowych mózgach skaczą kursa, akcje, czeki,
Mówią do siebie, liczą, biegną, byle prędzej,
Zapinając po drodze pękate swe teki.

Wczoraj kupił za miljon, dzisiaj za dwa sprzeda,
Kupi jeszcze, — gdzie dostać? — leci — płaci więcej,
Był w cukierni, był w banku, targuje się, nie da,
Liczy, gemacht, wziął, pędzi, sprzedał. Sto tysięcy.

A jutro znów pobiegną z giełdy do kawiarni,
Puszczą w ruch bystre oczy i paluchy drżące,
I znów obsiądą stolik, jak spiskowcy czarni,
Rzucając krótkie słowa i grube tysiące.

W twarz dadzą sobie napluć za tyle a tyle,
Obetrą gębę ręką, a sumę — przeliczą!
Poproś ich o Chrystusa — zapytają: ile?
A gdy zgodzisz się — przyjdą jutro ze zdobyczą!

Gudłaje w drogich futrach, w jedwabnej bieliźnie,
Wystrojone szajgece w eleganckich butach,
Chamy, bydło, spasione na własnej ojczyźnie,
Którą codziennie w obcych kupczycie walutach!

Haussa, łotry! Na giełdę! Kwadransik szermierki!
Wrzeszczcie! To cały trud wasz, tak hojnie płacony!
Nuże! Z rączki do rączki przerzucać papierki
I leciutko zagarniać krocie i miljony!

A potem — zakąskami zastawiać stoliki!
Żreć, żreć, chlać i używać — wre wściekła robota!
Tłustym, słodkim likierem zapijać indyki,
I — „wina dla orkiestry! — Orkiestra! Foxtrotta!“

Złodzieje na wolności! Próżniaki! Parszywce!
Bando rozzuchwalona i niesyta nigdy!
Baczcie! Marki, przepite wieczorem przy dziwce,
Jak proklamacje fruną w mrowie ludzkiej krzywdy,

Wyjdą z okrutnym hymnem podziemni mściciele,
Sto tysięcy ziębnącej i głodnej gołoty,
Rozbiją kasy, podrą spęczniałe portfele,
I do gardła wam zaczną pięścią pchać banknoty!

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

Tutaj niema gadania. Tutaj pięści trzeba!
Wyłapać ten sztab czarny, łajdaków gromadę!
Za mordę, do więzienia — na suchy kęs chleba,
Bo do dziś — po cukierniach żłopią czekoladę!

A potem — dać im pracę. Niechaj rąbią drzewo,
Niech z dworca noszą kufry, cięższe od kamieni,
Niech sprzedają gazety w mróz i pod ulewą
Lub trochę przy warsztacie postoją zgarbieni.

Gdy święty turkot maszyn zadudni im w głowie,
Kiedy pot zrosi czoło, plecy zegnie ucisk,
O życiu wtedy ramię omdlałe im powie
I duszne sale fabryk i wściekły żar hucisk!

(1921)

BANK

Jak czarne włochate kulki
Po banku toczą się srulki.

Skaczą, skaczą nad biurkiem,
targuje się srulek ze srulkiem.

Srulek srulkowi uległ
i biegnie do kasy srulek.

Liczy drżącemi palcami
i zmyka przed srulkami.

W klubzeslach zdala od kasy
siedzą srule - grubasy.

Srulki z uśmiechem lubym
kłaniają się srulom grubym.

A w głębi — w ciszy — wielki jak król
Duma
sam
główny
Srul.

ANONIMOWE MOCARSTWO

Już w podziemiach synagóg wszystko złoto leży.
Amunicję przenoszą czarni przemytnicy.
Naradzają się szeptem berlińscy bankierzy,
Dzwoni tajny telefon z warszawskiej bóżnicy.

W Londynie, w wielkiej loży, już postanowiono...
Siedem pieczęci kładą masoni pod dekret.
Nad skrwawionym talmudem żółte świece płoną,
W płachtę zwinęli szczątki i przysięgli sekret.

I zaraz żydzi w Kremlu dostali depeszę!
I skoczyła iskrówka! Zawrzały redakcje!
Paryski Rotszyld ręce zaciera w uciesze:
W Amsterdamie i Rzymie wykupiono akcje.

Smok olbrzymi od morza do morza się wije,
Nocą widzą go w ogniu najśmielsi lotnicy,
Ciemny łopoce w miastach i na trwogę bije,
Sygnał strzelił rakietę z nad pruskiej granicy.

...A po naszych miasteczkach, w straszne skwarne
święto,
Wieje z sieni ziejących pomruk głuchych nowin:
„Do kościoła się zakradł pejsaty żydowin
I dzieweczkę w cegielni na macę zarżnięto".

PRZED PARYŻEM

„Voilà, voilà, bandits!“ (Rimbaud).

Zwyciężało więc chamstwo. Do miasta-światłości
Zbliżał się gbur germański z tryumfem przechwałki,
Jużem widział, jak butnie w mieście się rozgości,
Jak warkną suche bębny, zagwiżdżą piszczałki!

Zasię bałwan spiżowy, święty buldog pruski,
Pierś wydętą ustroi czarnej chwały krzyżem
I legnie ciężkiem cielskiem na ziemi francuskiej,
Groźnie pysk nad jej sercem zwiesiwszy, Paryżem.

Pycha zbruździ głupotę stalowego pyska,
Mózg pod hełmem śnić zacznie nową cezarjadę.
I sztywno wyrzucając podkute buciska
Głupie junkry z łoskotem otrąbią paradę.

I potoczą się ciężkie a krnąbrne przemowy,
Kirasjerskie tyrady o Bogu i prawie:
„Wolność“, „ideał“, „cnota“, „praca“, „mur
stalowy“
I „stary miecz niemiecki w niespożytej sławie“.

Zaprawdę, toby było, meine Herrn, wspaniałe!
Miljard sercby zamarło nagle w przerażeniu,
Miljard ustby przeklęło tę potworną chwałę,
Miljard ludzi stanęło ramię przy ramieniu.

A kiedy wasz Sterczywąs Suchoręki właśnie
Byłby armji dziękował za zwycięstwa plony,

Wiedziałem, że ktoś w gniewie tak w stół pięścią
trzaśnie,
Że podniesie nie pięść już, lecz ochłap skrwawiony!

A takiem uderzeniem miażdży się narody
I przed gniewem Jednego drżą wtedy miljony!
Historja mu wyciąga pierwsza dłoń do zgody,
Wiekom prawa dyktuje taki gniew czerwony!

Dzwoń, mój gniewie - zwycięzco! Dzwoń, radosny
gniewie!
Pękajcie, wulkaniczne strofy, jak granaty!
Kłujcie, zdania - bagnety! Sycz, złote zarzewie!
Wibrującem smaganiem sieczcie, słowa - baty!

Nuże, kulturträgery, dichtery, denkery,
Bibljofile, hofraty, leutnanty, doktory,
Pracowici idjoci, żandarmy, siegery,
Hegle, schlegle, geistszelmy, durnie, profesory! —

— Deutschenhetzer przemawia! Niech was to oburza!
Zgromcie niekulturalną moją inwokację!
Śpiewam gniewem i wzgardą — więc mój śpiew,
jak burza!
Wy zaś — wysiadujecie mądre dyssertacje!

Niech się eksplodująca moja inwektywa
Śrótem obelg i gradem wymysłów rozpryska,
A chociaż będzie lżywa — będzie sprawiedliwa,
Żagwią — prask! — bijąc w butę zuchwałego pyska!

Wczorajsze domokrady — dzisiaj demokraty,
Spokorniałe na rozkaz von oben pyszałki,

Pomyślcie, coby było, gdyby swe armaty
Do Paryża wtoczyły wasze feldmarszałki!

Gdyby na Place de la Concorde sam Kaiser
Na białym koniu wjechał w kasku kirasjerskim,
Nie buchnęłażby pycha z was dzika, jak gajzer,
Nie zalałaby ziemi tryumfem kajzerskim?!

Nie poszliżbyście wszyscy z pielgrzymką do Essen?
Nie czcilibyście Kruppa, niczem demiurga?
I „Deutschland über alles“ wyjąc nawet przez sen,
Czyż nie lizalibyście butów Hindenburga?!

Pojechałyby brzeskie kanalje nach Westen,
Podyktowały pokój vonhoffmany grube,
I kułak jeneralski z heroicznym gestem
Byłby przypieczętował Europie — zgubę!!

Potembyście stworzyli Kosmiczną Policję,
Kagańce z numerami nosiliby ludzie,
Gromadząc dla was, zbiry, świętą amunicję,
Pracując dla was, zbiry, w niewolniczym trudzie.

Bandą pruskich rekrutów byliby wam wszyscy,
Wiernem poddanem bydłem Wilhelma Zwycięzcy,
Szalelibyście z pychy, bogom zda się bliscy,
Z Bożej łaski szucmany, żołdaki, ciemięzcy!

Wżarlibyście się w ziemię swą pychą i dumą,
Cisnęlibyście sobie cały świat pod stopy,
A mybyśmy musieli, jak przed czarną dżumą,
Uciec z hochhohenzollernvonpreusseneuropy!

Uciec! I raczej kędyś na wyspie pierwotnej
W Australji, u dzikusów Europę założyć,
Niż w germańskim zaduchu, śród kliki przewrotnej,
W ciężkiej waszej kulturze żyć i życie tworzyć!

Lecz otośmy ujrzeli z zapartym oddechem,
Jak na polach francuskich piechota i tanki,
Działa, pułki, pędzone zwycięskim pośpiechem
Poszły naprzód w cudownym rytmie marsyljanki.

I dokonały dzieła. Zmiażdżyły świat stary.
Chwała krwi, co zmoczyła francuskie okopy!
— Na sztandary przerzućcie czerwone pożary
I — hurra! — wolne ludy wolnej Europy!

(1918)

PARADEMARSZ
(Wspomnienie z roku 1916)

Przed Grand Hotelem w mieście Łodzi
Z trzaskiem parademarsz odchodzi.
Brodaty landszturm, w lewo łby,
A karną linją za feldfeblem,
Wyrzuca sztywno i uparcie
Podkute stopy. Trzeszczy werblem
Groch pruskich bębnów. A na warcie,
Wpatrzone w marsz, jak wierne psy,
Giętkie lejtnanty, adjutanty:
Czerwony kołnierz, monokl, trzcinka
Cienka jak ostry gwizd piszczałek
— „Za Ren, za Ren, niemiecki Ren“ —
I gość dostojny — feldmarszałek,
Szkarłatno - siwy Mackensen.

A pośród tłumu gapiów łodzian
Miota się, pęta chudy młodzian.
Kapelusz na nos, kołnierz sztorcem,
Wściekłością trzepie jak proporcem,
Oczyma krzyczy marsyljankę
I ostrzem wbija w pruski szyk
Nienawiść młodą, mściwy krzyk:
Za Łódź, za wolność, za kochankę,
Z którą umówił się na randkę
W cukierni naprzeciwko. Toć
Nie puści szucman, rudy pałkarz,

W obliczu sztabu, feldmarszałka
I kreiskomendy miasta „Lodz".

Tedy się gniewem i tęsknotą
Rwie linje frontów, zachód, wschód,
Historję błaga się o cud,
I sprzymierzonym kulomiotom
Zbrodnicze śle błogosławieństwo:
Na rzeź, na mord, na okrucieństwo!
Żeby pod gradem kul ententy
Skrwawione padły lejtenanty
I sztab i marsz i Mackensen,
Żeby przez jezdnię po ich cielskach
Przejść mogła cudna i anielska,
Z mundurów krwawy mając tren!

Nie wiedzą jaka to męczarnia!
Nie słyszy Foch, nie wierzy Bóg!
I wciąż i wciąż cesarska armja
Paradą rąbie łódzki bruk.
I wciąż rozdyma przez piszczałki
Sekundy w wieki, jak balony,
Butami bębnów bataljony
Druzgocą serce na kawałki!
Narody! Zaraz koniec! Stąd
Z armaty w gardle cios ugodzi
I pęknie front, ostatni front
Przed Grand Hotelem w mieście Łodzi!
Zachód od lewej, wschód od prawej
W boki sprężyny wparły dwie —
Rwij! Wyskocz z łuku! Oczy lwie
W powietrze wrył — i skacze, rwie,

Drze uroczysty marsz plugawy!
Między chorążym i doboszem
Prześlizgnął się zwycięskim Fochem
I w tłum po drugiej stronie szast!
I wtedy — jakby tysiąc miast
Runęło za nim. Jakby globus
Pękł wrzaskiem niemca: „Sie, Mikrobus!!
Kreuzsappermentrebelle Sie!“
Wpadł do cukierni. Śmiech i łzy...

— — — — — — — — — — — — — — — — —

REWOLUCJA W NIEMCZECH

„Deutsch sein heisst Charakter haben"
Schlegel.

1

Profesor Otto Gottlieb Schmock
Pracuje już dziesiąty rok
Nad dziełem, które za tyleż lat
Przeczyta kulturalny świat:
„Gott, Kaiser, Deutschland und Proletariat".
Profesor Schmock jest zdania, iż
Niemcy — to boża stal i spiż,
Z których sam Stwórca dla swej chwały
Wykuł na zawsze pomnik trwały;
Że to jedyna w świecie nacja,
Że trzyma ją orrrganizacja,
Że Bóg jej sprzyja, wszechświat sprzyja,
Że państwo ciągle się rozwija,
Że mocno stoi Wacht am Rhein
(—Lieb Vaterland magst ruhig sein!).
Że feste Burg ist deutscher Gott,
(Es lebe Unterseeboot)
Że Deutschland über alles stoi,
Nikogo w świecie się nie boi,
Wszyscy zazdroszczą nam — und doch
Lieb Vaterland steht immer hoch!
I że do końca od początku
Wszystko w ojczyźnie jest w porządku.

A jednak — mimo owych prawd —
Jak wykazuje Wissenschaft,

Zgodnie z Bismarckiem, Kruppem, Schwanzem,
Radcą Müllerem i Schweinwanzem,
Jak to wykazał jeszcze Kant,
Profesor Schmidt, profesor Schmandt,
Doctor Drecovius, radca Schweiner,
Hofrat von Schnupper, Herr Gemeiner,
Fürst Oberschelmer, major Trick
W „Jahrbuch für eiserne Politik"
Tom siedemnasty, część dziewiąta,
Stronica pięćset sześćdziesiąta,
Trzydziesty pierwszy wiersz od góry,
Byłoby nett und gut und fein
(Lieb Vaterland magst ruhig sein!)
Zbadać noch einmal plon kultury
I na podstawie konjunktury
Najnowszych studjów oraz badań,
Beitragów, zdań, dociekań, zadań,
Wyświetlić gründlich: czy czasami
(Zgodnie z wszystkiemi badaniami)
Kraj, mimo swego dobrobytu,
Swej niezłomności i rozkwitu,
Patrjotyzmu, konstytucji,
Nie potrzebuje rewolucji?

Więc siadł — i czytał przez dziesięć lat
O tem, was braucht das Proletariat,
A po dziesięciu latach wstał
I całą sprawę znał genau.
Więc zaraz wydał nową Buch,
Gdzie uzasadniał w tomach dwuch,
Że są coprawda inne państwa,

Lecz to materjał do poddaństwa,
To tylko tak... dodatki małe,
Co winny zwiększać Niemiec chwałę:
's'ist Quatsch, ci wszyscy cudzoziemcy!
Zaś Salz der Erde to są Niemcy.
Następnie dowiódł, iż historja
To Niemiec gloria i victoria,
Że, wogóle, 's'ist wunderbar:
Wir sind die Sieger! na, nicht wahr?
Że w Niemczech (—patrz, co pisał Wundt,
Von Hundenschwanz, von Schwanzenhund,
Profesor Speck, jenerał Dreck
Und Archivär der Bibliothek
Von Untenstinkenhosenknopf,
Następnie doctor Lausenkopf
W „Zeitschrift für deutsche Oekonomie",
A za nim docent Siegfried Vieh,
A potem pastor Johann Laus
W „Zeitschrift für deutsche Kirche und Haus",
Geheimrat Stock, Justizrat Bock,
A wreszcie on — Otto Gottlieb Schmock),
— Naród, pomimo dobrobytu,
Pomimo szczęścia i rozkwitu,
Mimo najlepszej konstytucji,
M u s i przejść okres rewolucji!
„Die Sache ist klar, sie steht offen und breit:
's'ist eine historische Notwendigkeit!"
Hoch! Niechaj słucha cały kraj!
Hoch! Niechaj słucha deutsche Nation!
Morgen beginnt pünktlich um drei
Die kaiserlich-deutsche Revolution!

2

Die vaterländ'sche Komission
Zur Vorbereitung der Revolution
Opracowała dokładny plan:
Wie, was, warum, wozu und wann?
Każde z tych „w" miało własny Schalter,
Przy każdym siedział specjalny buchalter,
Sprawdzał paszporty i stemple kładł:
„Beruf: K. D. Sozialdemokrat",
Albowiem został rozkaz wydany,
Że konserwatyzm jest zakazany,
Landsmanów zasię wszelkich rang
Obowiązuje „S. D. - Zwang".
W szkołach rozdano dzieciom „Paketchen",
A w tych Paketchen Fritzl i Gretchen
Znaleźli bombkę i chorągiewkę,
Rewolucyjny wierszyk i śpiewkę,
Trzy proklamacje, notesik, wstążkę
I do wyboru maleńką książkę:
„Warum bin ich ein Sozialist?"
Lub „Handbuch für kleinen Anarchist".
Wnet praca zawrzała w drukarniach państwowych,
Wydano natychmiast stos cały dzieł nowych,
Więc: „Revolutionsschatz für feldgraue Helden",
Następnie: „Die rote Fahne im Felde",
A potem: „Wie mach' ich den Aufstand am Meere"
I „Grundriss der Attentatenlehre".
Odbyły się w kraju tysiące odczytów,
Powstało sto fabryk „ersatz-dynamitów"
I „Explosivstoffverteilungszentrale";
„Begeisterung" — prima! I władza w zapale,

W czerwone odświętnie przybrana kokardki,
Ludności dynamit dawała na kartki,
(Przy każdej karteczce był plan demonstracji).
Co odezw dotyczy zaś i proklamacji,
To w każdej był okrzyk: „Der Kaiser soll leben!“
„Geprüft“ były wszystkie „und freigegeben“
W cesarsko-niemieckiej wojennej cenzurze,
By zadośćuczynić germańskiej naturze.
Powstały też biura wskazówek i porad,
A objął nad wszystkiem sam rex protektorat.
Scheidemann dostał „Pour le mérite“,
Quod bonum faustum felixque sit,
Bogu zaś za to, iż natchnął Schmocka,
Ranga przypadła nader wysoka:
Tytuł na wstędze schwarz-weiss-rot:
„Der königlich-preussische Kammergott“.

— — — — — — — —

(1917)

RODOWÓD

Poco się ciskasz, mój Wuerze,
Poco wymyślasz mi od żydka?
Żydem aż śmierdzi w twym „Kurjerze“,
Żona waćpana — też semitka,
Karmiona z żydowskiego dydka,
Ciocia Hortensja, mój Wuerze,
(Dama a Paulo czy Wizytka)
Od Chai swój początek bierze,
Wuj zaś Salezy (mówmy szczerze:
Syn Mośka, Szmulka czy Dawidka)
Kiwał się, mrucząc, przy sajderze
I jako Saluś był w chederze,
Studjując (o, przeszłości brzydka!)
Alef bejs gimel na syderze.

Kędy tej szlachty jest początek,
Skąd ród swój bierze Wuerzyna?
I gdzie twych własnych wuerzątek
Ród po kądzieli się zaczyna?
Jakież to herby i sztandary
Miały twej żony antenaty,
Owe L...au'y i Kr....ary
Z miszpuchy cycełesowatej?
Ku wiadomości potomności
Niechaj czytają ludzie prości,
Jaki rodowód jest rodziny
Żony Wuera — Wuerzyny.

Rodzinnych kronik idąc śladem
Opowiadają ludzie starzy,
Że B...son R..skiej był pradziadem,
Zasię wywodził się z karczmarzy;
Miał karczmarz B..son wuja Szmula,
A Szmul Pinkusa miał i Srula,
Którego żona Cypa Łaja
Na mendle sprzedawała jaja.
Mendel był nawet synem Łai,
Złośliwi mówią, że od Szai,
Ten Szaja ze swym szwagrem Joskiem
Handlował rybą tudzież czosnkiem.
Kuzynką Joska była Jenta,
Żona Chaima, konkurenta,
Chaima siostra zasię, Pesa,
Tańczyła w purym majufesa,
Tańczył z nią Mordka, tańczył Chaim,
Chill, Henoch, Lejba i Efraim;
Majufes Pesy z Efraimem
Zakończył się pod baldachimem.
Z tej pary była dzieci fura:
Abramek, Boruch, Rojza, Sura,
Cywja i Brajndla i Gedali,
Ryfka i Chaskiel i tak dalej.
Wziął potem Brajndlę Ber z przeciwka,
A za Szulima wyszła Ryfka;
Syn Fajwla, Aron, wnuk Chaskiela,
Wziął Taubę z Perli i Jankiela,
Majer wziął Surę, Symcha Cywję
A rudą Rojzę dali Kiwie,

Ta Rojza właśnie miała stryja,
Co zwał się Symcha - Ajzyk - Szyja,
Którego babka, Fajga - Bina,
Potrzebowała mieć kuzyna.
Ten kuzyn Nuta z żoną Chawą,
Miał sklep z śledziami pod Warszawą,
A Fiszel, brat owego Nuty,
Tuwimom w Łodzi czyścił buty.

DO AUTORÓW DRAMATYCZNYCH

A niechże was połamie wszystkich
Z waszą „lekkością dialogu“,
Z tem małpowaniem bzdur paryskich,
Z węszeniem wiecznem zdrad i rogów!

Z waszym subtelnym dowcipuszkiem,
Wykwintem, paradoksem, Francją,
Pyjamą, damą, elegancją,
Kochankiem i kokociem łóżkiem!

Bodaj was sparło z „żywą akcją“,
Potoczystością scen kretyńskich!
Wbiłbym wam w brzuchy z satysfakcją
Rogi rogaczów waszych świńskich!

A niech wam wjedzie ostrym kątem
Każdy małżeński trójkąt chamski
Cholerą w bok pod żebro piąte,
Skisłe szekspiry majtek damskich!

Bodajście karki poskręcali,
Fidrygałgany i pieszczochy,
Nim znów się który rozmigdali
Na temat kołdry i pończochy!

Za aforyzmy o miłości,
Za błyskotliwość, zręczność wreszcie
Czas, by wam kto zgruchotał kości:
— W łóżku na scenie z bólu wrzeszczcie!

O, to mi będzie widowisko:
Gdy się w francuskiem łóżku kurczy
Złojony kijem za to wszystko
Nasz nonszalancki dramaturczyn!

Kiedy w wytwornym tym szpitalu
Śmiać się z uciechy będą twarze,
Że klituś, bajduś, cacuś, laluś
Ma pod pyjamką swą — bandaże!

To ci dopiero sukces będzie!
Wtedy zabawisz się, Warszawo!
Ja też usiądę w pierwszym rzędzie
I będę krzyczał: „Autor! Brawo!".

O ST. P.

Jadem i pianą z pyska
Pluje, parska i pryska,
Pisze, że jestem rzeźnikiem,
Gudłajem i bolszewikiem,
Judokokiem, bakcylem,
Pawjanem i skamandrylem;
Że sprzedaję ojczyznę,
Że koślawię polszczyznę,
Że znieważam, bezczeszczę
I djabli wiedzą co jeszcze.

I pomyśleć, że z całej
Działalności wspaniałej
Tego pana — więc z plwocin,
Charczeń, wrzasków, wypocin,
Rzygań, kopnięć i wycia, —
Na co stracił pół życia, —
Z książek i artykułów,
Ze słów, zdań i tytułów,
Z recenzyj, wzmianek szyderczych,
Słowem, z tego całego
Kramu dziennikarskiego
Zostanie... jeden wierszyk,
I to — mój, a nie jego.
Ten właśnie wierszyk... O, sroga,

Przez żydowskiego boga
Natchniona zemsto! Ot fraszką,
Paru słówek igraszką,
Unieśmiertelnić wroga!...

O JEDNYM

Och, ten straszliwy dłubinos,
Eunuch piskliwy, albinos,
Kanalja, nieuk nahalny,
Z redakcji prowincjonalnej!

W nosie nie znalazł inwencji,
Więc ze łba, z brudnych wyskrobów,
Pazurem szuka sposobów
Na podniesienie potencji.

Smaruje cuchnącą maścią
Swoje kurjerskie kolumny,
Już widzi kraj nad przepaścią,
Już go pakuje do trumny.

Ryczy z patosem, że Polak!
Forsę pożycza od dziwek,
Kelnerów straszy! Pikolak,
Węszący od rządu napiwek.

JAN NICMUNIEPOMOŻE MILLER

Dużo jest różnych Janów: Chryzostom, Ambroży,
Z Dukli, Gwalbert, Kapistran, a także Jan Boży.

Ten zaś, w literaturze czynny oraz w sztuce,
Jest Jan w Oleju, Flakach tudzież Nepomucen.

Mówią mu ludzie: „Przestań, Janie Nepomucu,
Bo wiersze i krytyki wszystkie są do pucu.

Możeby w Pabjanicach uszły, albo w Pucku,
A tu jednak stolica, Janie Nepomucku".

Lecz nic go nie powstrzyma od krytycznych ocen
I wciąż za pióro chwyta Jasio Nepomocen.

I na mnie się oddawna i uwziął i zaciekł
I, jak pedek, mnie zerżnąć chce Jan Nepomaciek.

Czy na rumaku pędzi do walki saracen?
Bynajmniej. To na szkapie Janek Nepomacen.

Gaduła do specjalnych w krytyce poruczeń,
Profesor żeńskich pensyj, chociaż Nepomuczeń.

Na chroniczne bezjajstwo nic nie może pomóc.
Panny! próżne nadzieje! Biedny Jan Nepomuc.

Morał:

Niech się nigdy na Konia nie porywa kucyk,
Bo tak będzie wyglądać, jak Jan Nepomucyk.

O ADOLFIE

Adolf orze jak może,
Bierzcie przykład rodacy!
Mróz czy upał na dworze,
On od świtu przy pracy.

Czyta Hajnty, Mateny,
Dajlemajle, Izwiestja,
Adverule, Tidendy,
Bo uczona to bestja.

Potem polskie przeczyta,
Od ABC aż do Zet,
Potem ostrzy nożyczki
Oraz Waterman-Closed.

I wycina, przykleja
I cytatki dobiera
I chichoce, chichoce,
I aż rączki zaciera.

Jak przyklei, jak zlepi
Taki cały fascykuł,
To w Abece lub Ge-Wu
Jest nazajutrz artykuł:

Jaka tego przyczyna,
Że Koc w skarbie jest, a do Lw-
owa poszedł Belina,
Wytłumaczy nam Adolf.

Bo pisało w „Tugblacie“,
Bo stojało w „Momencie“,
Że w Oszmianach był odczyt
O Cezarym Jellencie.

O Jellencie, Belmoncie,
I choć każdy z nich brudas,
To ten pierwszy jest prącie,
A ten drugi jest kudas.

I że Boy to jest Bojko,
Że jest bojkot gerojów,
Że to pachnie machlojką
Cowboyówki cowgoyów.

Że w jom-kiepur na Plantach
Tuż pod samym Ikacem,
Rudy żyd korporanta
Rżnął, macając, na macę.

To w Krakowie. A w Stryjskim
Parku parka tych parchów,
Pod sztandarem awstryjskim
Lżyła polskich monarchów.

I że w Żywcu to żywcem
Żydy zżarły biskupa,
Jeszcze potem parszywce
Naśmiewały się z trupa.

Że z kowieńskim Rotszyldem
Sławek w maju pił bruder-

szaft w traktjerni pod szyldem:
„Abram Mojsie Piłsuder".

I że Emil, choć Ludwig,
Zwie się Cohn, syn Uszera,
Szolom Aszer, paskudnik,
Zięć Emila Breitera.

Że Gorgonka, ta z „Bandy",
Co Dżagana zabiła,
Forsę dla propagandy
W dwóch walizach woziła.

A już Göthe w „Hamlecie",
W scenie Fedry z Aidą,
Przepowiedział, że przecie
Żydy idą a idą.

Że aryjkę z „Żydówki"
Śpiewał Ohrenstein z Rytlem
I wynikło, że Wagner
Też był endek, jak Hitler.

Bo ten Wagner napisał:
„Do-re-mi-fa-do-sol-fa".
Co oznacza: bij żyda,
A ubóstwiaj Adolfa.

Ale chociaż w gazetkach
Adolf żydem się brzydzi,
Bardzo cierpi, biedaczek,
Kiedy żydów nie widzi.

Często w piątek wieczorem
Pod Hirszfeldem postoi,
Węszy rybkę z cebulką,
Chciałby wejść, lecz się boi.

Wtedy nawet z Wasowskim
Chętnie wypiłby wódy,
Z Pomirowskim! z Bychowskim!
Albo z którym z Agudy!

W takiej chwili i Liński
W zachwyt wprawia go dziki!
A tu wciąż Rembieliński,
Sygi, szprotki, drobniki...

Za czemś izraelickiem
Aż dreszcz wstrząsa Adolfem!
...A on musi z Kozickim,
Albo z innym Mosdorfem.

W Słonimera miłego
Łkałby (choć on z meteków):
„Co ja cierpię, kolego,
Śród tych moich mendeków!".

Wszystkich mędrców Syonu
Stałby się przyjacielem!
Woli ocet z Leśmianem,
Niż szampitra z Rembielem.

Już go korci, już kusi
Artykulik jak bomba:

O Romanie — że ramol,
O Trąmpczyńskim — że trąba.

Że korporant - porkorant,
Że owupe ma w upie,
Że Korwanty — Kurfanty
I powinien być w ciupie.

Że Dowborek do Tworek,
Że Hallerek — chollerek,
Że Rybarski jest rybi
I wogóle numerek.

Że w „Gazecie Parszawskiej"
To aż śmierdzi od żyda,
A ta rybka z cebulką
To poprostu — Elida!...

Lecz choć świerzbi go pióro,
A serduszko aż puchnie,
Nie napisze nic o tem,
Bo nie wolno Aduchnie.

Więc nazajutrz — znów orze,
Bierzcie przykład, rodacy,
Mróz czy upał na dworze,
Adolf zawsze przy pracy.

Czyta Hajnty, Mateny,
Dajlemajle, Izwiestja i t. d.

(da capo al fine).

O „GAZECIE WARSZAWSKIEJ"

Patrz „Gazeta Warszawska" z dn. 21 sierpnia 1932 r., Nr. 251-b, str. 18; Nr. 259 z dn. 28 sierpnia i in.

Dość dużo rozumiem i wiem jak na „wieszcza",
Lecz jedno wyjaśnić mi proszę:
Dlaczego „Gazeta Warszawska" zamieszcza
Tak dużo żydowskich ogłoszeń?

Dlaczego na wszystkich stronicach „Gazety"
Są Żydzi złodzieje i dranie,
A na osiemnastej — już mają zalety
I w miłej gazetce mieszkanie?

I jaka jest tego ukryta przyczyna
I co z tego faktu wynika,
Że pismo ogłasza Gelbfisza, Fajncyna,
I nawet Szyllera-Szkolnika?

Gelbfisza, Fajncyna, Szyllera-Szkolnika,
Bursztyna, Cajtlina i Katza,
I (Żyd!) Dobrzyńskiego, Zyberta, Grosglika —
— To pewno się dobrze opłaca.

I Muszkatblit jest, gdy kto chce Muszkatblita,
I Endelman — gdy Endelmana,
Gazetka nie pyta, kto swój, kto zrajlita,
Bo forsa to forsa, prosz' pana.

Wiadomo: non olet, więc olens i volens,
W żydowskiej niewoli cierpiąca,

Gazetka złączyła żydowską niewolę z
Gudłajską miłością pieniądza.

Więc miesza się w głowie: Kozicki z Dobrzyńskim,
A Grosglik i Stroński z Zybertem,
I Gelbfisz z Rybarskim i Katz z Rembielińskim,
A Szkolnik poprostu z Neuwertem.

Heil Adolf! Pod twoją aryjską opiekę
Oddaję kochanych gelbfiszów,
Neuwert erwache! Juda verrecke!
A giten cześć! Pisz na Berdyczów.

O PEWNYM PIEŃKU

Zacietrzewiona w głupiej złości
Z byle redakcji byle gnida,
Co w mojej Poetyckiej Mości
Umiała dostrzec tylko żyda;

Nadęty bałwan nad bałwany,
Impertynencik, impotencik,
Na żółć swą w braku spermy zdany,
Świętej pamięci ćwierćtalencik.

Bóstwo żandarmów, klech, dziedziców,
Byk, co już tępym rogiem bodzie,
A imponuje wdziękiem witz'ów
Swej ciotce albo golibrodzie.

Pieczeniarz, amant dwóch żydówek,
Kiep, krytykaster, estetetryk,
Który, nim skrobnie kilka słówek,
Zagląda w spodnie i do metryk.

Gramofonowa zgrana płyta,
Skryba, skrobiący na odcinek,
Arcykanalja, abderyta,
Kramów i jatek benjaminek;

Ten sam, ten sam, co ze mną wojnę
Prowadzi tym sposobem nowym,
Że mnie imieniem ochrzcił „Jojne",
A sam jest srulem — zawodowym.

WSPÓŁCZESNA ODA

Cnoty zdobią cię wielkie i rzadkie,
Szczycić możesz się swojem imieniem,
I niebiosa niech będą mi świadkiem,
Że cię bardzo szanuję i cenię.

Nawet łotr znajdzie w tobie obrońcę
I nie skrzywdzisz go czynem ni słowy.
Nie kradzione są twoje czerwońce
U sieroty bezbronnej i wdowy.

Z wielkorządcą jak z równym rozmawiasz,
Nie szukając protekcji możnego,
I bez złego zamiaru zostawiasz
Sam na sam śliczną córkę i jego.

Ciemny lud cię nie mierzi: „Ach, mili,
Bracia nasi w Chrystusie, kmiotkowie!"
I brodatej przyjezdnej familji
Nie przepędza od progu twój człowiek.

Nie zapytam, skąd w kufrach i skrzyniach
Coraz więcej przybytku, przyrostu.
Wiem: do tego się cnota przyczynia,
Z nieba wszystko ci spadło poprostu.

Cnoty zdobią cię wielkie i rzadkie,
Szczycić możesz się swojem imieniem,
I niebiosa niech będą mi świadkiem,
Że cię bardzo szanuję i cenię.

(z Niekrasowa)

NA POTWARCÓW

Ile drzew się na wiosnę okrywa zielenią,
Ile błota na rynku pińczowskim jesienią,
Ile sobie wielmożni nawarzyli piwa,
Ile kłamstwa w zeznaniach o dochodzie bywa,
Ile wielkich działaczów wyjrzało z rozporka,
Ile szydeł wylazło z wyborczego worka,
Ile w tym karnawale na bale zaproszeń,
Ile w prasie endeckiej żydowskich ogłoszeń,
Ile razy wódz dobry, ale kiepska reszta,
Ile razy Piłsudski swych ministrów beształ,
Ile w bankach na Śląsku zasiada prusaków,
Ile wisi orderów na piersiach łajdaków,
Ile jest na koncesje państwowe oskomy,
Ile żydzi robili wrzasku o pogromy,
Ile codzień złodziejów na połów wyrusza,
Ile wieńców na grobie było Eligjusza,
Ile interpelacyj jest bez odpowiedzi,
Ile w sejmie bezkarnie drapichrustów siedzi,
Ile każdy... ten i ów zarabia „na boku",
Ile tomów poezji wyszło w ciągu roku,
Ile westchnień na wiosnę drży w dziewiczem łonie,
Ile klap teatralnych było w tym sezonie,
Ile razy sprzedano szkiełka za brylanty,
Ile geszeftów zrobił z Niemcami Korfanty,
Ile ksiądz obiecuje szczęścia na niebiosach,
Ile końskiego łajna w naszych papierosach,
Ile razy przegrałem w życiu na loterji,
Ile w piersiach nędzarzy gruźliczych bakterji,

Ile nam się skurczyły przez ten rok dochody,
Ile mętnej w studenckich łepetynach wody,
Ile w krzaczkach majowych zakochanych parek,
Ile u akuszerek bywa pensjonarek,
Ile razy „Robotnik“ głosił rewolucję,
Ile razy cytował Stroński konstytucję,
Ile nudy na każdy obchód narodowy,
Ile w lombardach leży poduszek z pod głowy,
Ile armat w zbrojowniach Europy „czeka“,
Ile żółci i kwasu wezbrało w endekach,
Ile dolarów kryją przekupek pończochy,
Ile codzień w teatrach warszawskich darmochy,
Ile razy ktoś kogoś o grandę posądził,
Ile-by się kto inny nakradł, gdyby rządził,
Ile obwiepolaki o Hitlerze marzą,
— Tyle wieków niech w piekle potwarcy się smażą!

MÓJ DZIONEK

Ledwo słoneczko uderzy
W okno złocistym promykiem,
Budzę się hoży i świeży
Z antypaństwowym okrzykiem.

Zanurzam się aż po uszy
W miłej moralnej zgniliźnie
I najserdeczniej uwłaczam
Bogu, ludzkości, ojczyźnie.

Komunizuję godzinkę,
Zatruwam ducha, a później
Albo szkaluję troszeczkę,
Albo, gdy święto jest, bluźnię.

Zaśmiecam język z lubością,
Znieprawiam, do złego kuszę,
Zakusy mam bolszewickie
I sączę jad w młode dusze.

Czasem mnie wujcio odwiedza,
Miły, niechlujny staruszek,
Czytamy sobie, czytamy
Talmudzik, Szulchan-Aruszek.

Z wujciem, jewrejem brodatym,
Emisarjuszem sowietów,
Śpiewamy pierwszą brygadę,
Chodzimy do kabaretów.

Od oficerów znajomych
Wyłudzam w czasie kolacji
Sekrecik jakiś sztabowy
Lub planik mobilizacji.

Często mam misje specjalne
To w Druskienikach, to w Kielcach
I wywrotowców werbuję
Na rozkaz Moskwy do Strzelca.

Do domu wracam pogodny,
Lekki jak mała ptaszyna,
W cichem mieszkaniu na Chłodnej,
Czeka drukarska maszyna.

Odbijam sobie, odbijam
Zielone dolarki śliczne,
Komunistyczną bibułę,
Broszurki pornograficzne.

A potem mała orgijka
W ramionach płomiennej Chajki!
(Mam w domu taką sadystkę
Z odeskiej czerezwyczajki).

I choć mam miljon rozkoszy
Od Chajki krwawej i ryżej,
To ciężko mi! Nie na sercu,
Lecz wprost przeciwnie i niżej.

Niech się ciężarem tym ze mną
Podzieli który z rodaków!
Mój Boże, ileż tam siedzi
Głupich endeckich pismaków!

PROTEST

O tę Polskę, o ojczyznę
Najboleśniej zatroskani,
(Bożeż Ty mój miłościwy,
Co to będzie, moja Pani?)
Widząc ją shańbioną strasznie,
Niespokojni o jej losy,
Co ją tajgi wywalczyli,
Sybiraki i niebiosy;
I te wieszcze, te proroki,
Co ją w pieśniach opiewali,
I te dzieci, co we Wrześni
Z tą Drzymałą i tak dalej;
I ten Śląsk i własny dostęp
I że ciągle nas od wschodu
Miazmaty zatruwają
I że gaśnie duch narodu;
I że bierność, a przeważnie
Elementy wywrotowe
I ogólne wyuzdanie,
Podkasanie dekoltowe;
Że zginęła praworządność
I nie słów a czynu trzeba,
(Bożeż ty mój miłościwy!
Patrz Kościuszko na nas z nieba!)
I szkodliwe partyjnictwo
I te rządy osobiste,
I że brak poszanowania,

W związku też z pasterskim listem;
Takżesamo że bluźnierstwo
I że sprawcy niewykryci,
Że sanacja sobie hula,
Że ohyda i bandyci —
— Z tych to względów i powodów,
(Bożeż Ty mój! Moja pani!)
Uroczyście protestują
Wszyscy niżej podpisani:
Ładwinowicz z Czerbichowa,
Kłyś z Podwodzisk, Szurguń z Wierpska,
Z Białych Mogił Hacelkowa
I z Czerwiny Kwasisierpska;
Antałkowski z Dobrogajców,
Cudak z Żółczki, Płańtas z Wierzbian,
Dymba z Rykwi, Frynd z Murajców
I Kordulec z Górnych Świerzbian.
Dułdujewicz z Małgocina,
Rańcuchowski z Księżych Skałek,
Ksiądz Kapucha z Węgorzyna
I Buchajska z Odrzygałek.

DEMON

Gdy Warszawa cicho drzemie
Pod całunem nocy głuchej,
Kiedy spadnie zmrok na ziemię,
I po mieście błądzą duchy.

Otulony czarnym mrokiem
Z ciemnej nory swej wyłazi
Z cichem pieniem, tajnym krokiem
Aszkemason Szymonazy.

Widno jeszcze w Belwederze,
Stary marzy przy herbacie,
Demon wchodzi bez pukania...
„No, Piłsudski, jak się macie?"

— Rad staratsia! rżnie marszałek
I pod daszkiem rękę trzyma.
„Co z Hubisztą?" — Przeniesiony!
„Gdzie Hallery? — Już ich nima!

„Dobrze! mówi Aszkemason.
Teraz weźcie-no papierek
I zapiszcie nominacji
I zmian w wojsku nowy szereg:

Grzyb-Rypalski do Będzina,
Pstryk ze sztabu do saperów,
A pułkownik Lufa-Dufny
Na dowódcę szwoleżerów.

I na jutro na dwunastą
(Ze mną niema żartów, wiecie!)
„Wszystkim żydkom dacie awans,
Gojów zaś zdegradujecie".

A marszałek słucha drżący,
Pot kroplisty spływa z czoła,
Pisze, co mu Mistrz dyktuje
I co chwila „rrrozkaz!" woła.

„W Kremlu radość! Berlin huczy!
„W lożach tryumf! Syczą płazy!
Z Belwederu na Wierzbową
Pędzi demon Szymonazy.

Tam „knoll, knoll, knoll za kominem!"
Majufesy! kamarińskie!
A Zaleski, niczem Bohdan,
Dumki szumki ukraińskie!

Tańczy rabin z Lucyperlem,
Clayton bractwu pali mówkę,
Demon włazi na ministra
I obsadza mu placówkę!

A Lednicki i Babiański
Tańczą, kwicząc szpetne słowa:
„Rauscher, brachu, dobra nasza!"
Noc Bartelołomiejowa!

Fryling czeski, od sokołów,
Na Bertonim jedzie kłusa

I wesoło podśpiewuje
Nową polkę: „Husa-husa!“

A pośrodku, pod Stpiczyńskim,
Jak pod ciężką, straszną prasą,
Leży, rycząc „głosem prawdy“,
Wolnomularz Aszkemason...

Z tej to czarnej mszy warszawskiej
Za podszeptem czarcich porad
Powstał Wielki Antypolski
Generalny Inspektorat!

A przedwczoraj wyszło na jaw,
Że i pierwszy marsz kadrówki
Prowadziły z Oleandrów
Ciotki Mistrza, dwie żydówki.

Za ten grzech — ojczyznę biedną
Ogień spaliłby niebieski,
Gdyby nie to, że Jej strzeże
Anioł Zygmunt Wasilewski.

On tu jeden trzyma fason
Ponad żydów podłą zgrają
I on jeden nie jest mason

. . . . . .

Chociaż... Czego nie gadają?

DJAK

Przed urzędem, u wrót, prosty zebrał się lud
Gęsto.
Opowiada, że głód, kiszki grają jak z nut
Często.
— Durnie! ozwał się djak, niby czego wam brak?
Żarcia?
Jam się obżarł za dwóch, aż dostałem na brzuch
Parcia.
Wracał z targu i wiózł poprzez rzekę swój wóz
Gazda.
Chłopek prosty — no co? widzi most, no to wio!
Jazda!
— Durniu! ozwał się djak, na to most, myślisz, tak?
Fraszki?
Ty go szczędź! nie znasz praw! przedostały-ż się
wpław Kaczki!
Jak Pietrkowi we wsi capnął złodziej z przed drzwi
Prosię,
W ręcznik zwinął go, drab, aż tu władza go cap!
Proszę!
A djak na to: „Rzecz w tem — ręcznik Pietrka? Już
wiem Wszystko!
Wiec kto złodziej i łotr? Któżby inny jak Piotr?
W pysk go!“
Przyszedł chory — i w płacz: „Oj-jej, djaku mój,
patrz!“ — Ano?
„W brzuchu rżnie coś, jak nóż, a najgorzej to już
Rano.

Ani wstać ani stać — i nic nie jem, więc dać
Racz co!“
— Dureń jesteś! rzekł djak, nie żryj, gdy ci nie
wsmak, Naczczo.
Przyszedł biedak: „Och, zważ, dobrodzieju ty nasz“,
Jęczy,
„W sprawie pomoc chcę mieć!“ W kiesie srebro
i miedź Brzęczy.
„W czapkę wsypię, gdy chcesz, dziesięć rubli,
no bierz! Służę!“
— To otwieraj swój sak i syp zaraz, rzekł djak,
Nuże!

(z Aleksego Tołstoja)

ZAPOMNIANA WIEŚ

1

Przyszła babuleńka z prośbą do sołtysa:
Chatka jej się wali, strzecha całkiem łysa,
Niech da drzewa, słomy, i niech ma na względzie,
Że... A sołtys na to: „Niema i nie będzie".
Myśli sobie babcia: „Dziedzic, jak przyjedzie,
Spojrzy na chatynę i zaradzi biedzie".

2

Sąsiad, chciwiec łasy, kroił grunt, okrawał,
Aż zagarnął sobie chłopskiej ziemi kawał.
„Czekaj, myślą chłopi, kułakami łeb trą,
Jak przyjedzie dziedzic — będzie geometrą,
Powie jedno słowo, zjawi się tu z władzą
I nasz grunt należny znowu nam oddadzą".

3

Wania kocha Maszę, byłby ślub gotowy,
Lecz ekonom - niemiec także jest sercowy,
Nie przepuszcza dziewce. „Czekaj, mówi Masza,
Jak przyjedzie dziedzic, będzie dobra nasza".
Dziwują się ludzie, że się chłop nie żeni...
Niechaj dziedzic wróci, wszystko się odmieni.

4

Zmarła w nędznej chatce babuleńka miła,
Złodziejowi ziemia setnie obrodziła,

Byle młokos dawny chodzi już brodaty,
Wańki we wsi niema, wzięli go w sołdaty.
Zapomniała o nim Masza - krasawica,
A dziedzica niema, nie widać dziedzica.

5

Aż się wreszcie zjawił — pięknie wysrebrzony
Wóz wysoki, w szóstkę koni zaprzężony,
Na tym wozie trumna, a w trumnie dębowej
Leży dawny dziedzic, a za trumną — nowy.
I, po mszy w kościele, nowy, bestja chytra,
Siadł do swej karety — i jazda do Pitra.

(z Niekrasowa)

TAK, BRACIE...

Tak, bracie! biłeś się, to wiesz,
Że z wojną kramu jest niemało.
My niby nic — a u nas też
Różne się sztuczki wyrabiało.

— Jak się z naszymi francuz bił,
To mu powietrze nie służyło.
Pomyślał: marnie... I co sił
Drapaka dał, aż się kurzyło.

Tożeśmy raz capnęli tu
Rodziców z trzema szczeniakami.
Zakatrupiliśmy musju!
Nie z dubeltówki — kułakami.

Żona w krzyk, wrzeszczy, leje łzy,
Rwie włosy... któżby nie żałował?
Aż litość brała. No to my
Ciach ją toporem i gotowa.

Patrzymy: dziatki. Masz-ci los!
Rączkami proszą, wyją, skaczą,
Gaworzą w swojej mowie coś
I rzewnie biedaczyny płaczą.

Serce krajało się! Bo cóż
Tu robić? Długośmy gadali,
Aż dzieci, przy rodzicach tuż,
Utłukliśmy i pochowali.

Taka to, bracie, była rzecz.
Człek naharował się niemało.
I choć na wojnie nie był, lecz
Różne się sztuczki wyrabiało.

(z Niekrasowa)

ÇA IRA

Jeszcze tyją rozlane maciory,
Piszczą cienkie titinki — tiu - tiu!
Wyfraczone golemy i zmory
Tańczą cieniem po wyblakłym dniu.

Klepią brzuchem w napęczniałe brzuchy,
Człapią tłusto czkawką tłustych słów,
W kremie grzęzną ich pulchne paluchy,
Kremem światło ścieka z łysych łbów.

Duszna noc plecie troje niewidy
Z pstrych melodyj, serpantin i ciał,
Ranek przyjdzie jak widmo ohydy:
Mokry, mżący będzie w oknach łkał.

A hołota już czeka za drzwiami,
Głucho marsza drewnianego gra,
Stuku - puku po bruku szczudłami:
Ça ira! Ça ira! Ça ira!

Śmiercią bębni barbarzyński jazzband,
Twardym bólem w kościach czaszek drga,
W gęby brukiem bije, w szyby tancbud:
Ça ira! Ça ira! Ça ira!

Zanim przyjdzie poszarpanem ścierwem
Znów zdobywać lub bronić Verdun,
Berlin twardo grozi: „Mörder! Mörder!“
Paryż syczy: „Assassins! Assassins!“.

Więc na wózkach, na szczudłach, o kuli,
Kuśtykając i chichocząc gna
Za dryndami, za autami ten kulig:
Ça ira! Ça ira! Ça ira!

Ach, bo wiedzą, że macie w programie
Jeszcze piękne marszruty in spe:
Może foszów po Kurfürstendammie?
Może boszów po rue de la Paix?

Wypaproszą granatami ziemię,
Skopią, skąpią ją w szkarłatnej krwi,
Będą sterczyć, jak truskawki w kremie,
W białym śniegu rozkrwawione łby.

Zawyjecie, wymoczki śmiertelne,
Wystraszone, ogłupiałe, złe!
A ostatni w Europie kelner
Poda sobie — kokainę sauté!

PIF-PAF!

Sensacja wszechświatowego Lunaparku

Amerykańska, mechaniczna
Słynna strzelnica elektryczna!
Proszę spróbować! Ta zabawa
Jest i ciekawa i bezkrwawa.
Kto z państwa odda celny strzał,
Będzie uciechę wielką miał!
Oto tancerka. Gdy tancerce
Nabojem trafić prosto w serce,
Ona nóżkami wdzięcznie fika,
Przyczem wesoło gra muzyka.
Obywatelu! Strzel i traf!
Pif - paf!

Bardzo proszę! Bardzo proszę!
Jeden strzał 20 groszy!
Pośród kurkowych luminarzy
Może się znaleźć każdy z was.
Bardzo proszę! Bardzo proszę!
Trzy wystrzały 50 groszy!
Kto się odważy, kto się odważy,
Kto się odważy jeszcze raz?

Trafisz dobosza w centrum tarczy,
A zaraz bęben mu zawarczy.
Trafisz anioła między oczy,
A para skrzydeł mu wyskoczy.
Pies będzie szczekać, kogut piać,
A pozytywka walca grać.

To tylko zręczność! Żadne cuda!
Komu się pierwszy raz nie uda,
Ma prawo za 50 groszy
Trzy razy zaznać tej rozkoszy.
Obywatelu! Strzel i traf!
Pif - paf!

Bardzo proszę! Bardzo proszę!
Jeden strzał 20 groszy!
Pośród kurkowych luminarzy
Może się znaleźć każdy z was.
Bardzo proszę! Bardzo proszę!
Trzy wystrzały 50 groszy!
Kto się odważy, kto się odważy,
Kto się odważy jeszcze raz?

Uwaga! Z poza automatów
Widmo wynurza się z zaświatów.
Pierś malowniczo poszarpana,
Wspaniały cel — ta wielka rana.
Ten pan, odziany w krwawą rdzę,
Był za automat pod Verdun.
Świetny mechanizm zegarowy,
Ot, coś strzeliło mu do głowy,
Że znów zabawy takiej pragnie,
Bo na wojence bardzo ładnie.
Obywatelu! Strzel i traf!
Pif - paf!

Bardzo proszę! Bardzo proszę!
Jedno życie za 2 grosze!
Może się znów okazja zdarzy
Puszczać szrapnele, kule, gaz!

Bardzo proszę! Bardzo proszę!
Miljony trupów po 3 grosze!
Ale kto się odważy? Kto się odważy?
Kto się odważy jeszcze raz?!

(Wolny przekład z niemieckiego)

„POPIERAJCIE L. O. P. P."

Pod wpływem agitacji
Poparłem wczoraj Loppa,
Bo jaki byłbym Ppolak,
Jeżelibym nie popparł?

Jest na to poppieranie
Ppowodów cała koppa,
Naprzykład ten, że Niemiec
Ma także swego Loppa.

Poppiera go ppodobno
Ppotężnie na całego,
Więc jako ppatrjota,
Ja ppoprzeć muszę swego.

Bolszewik też ma Loppa,
Poppiera go galoppem,
Więc ja nadążyć muszę
Za bolszewickim Loppem.

Ma swego Loppa Anglik
I Turek też ma Loppa,
I cała go poppiera
Ppieniędzmi Europpa.

I Bułgar i Jappończyk
I Ppers i Czechosłowak
I Pportugalczyk — oraz
Moc innych w świecie ppowag.

Ppanowie! Niech się przeto
Do Loppa każdy modli,
Byśmy się wszyscy pprędko,
Pporządnie wytruć mogli.

Ppoprostu w tem ppoczuciu,
Że choć mnie to kosztuje,
To mam tę satysfakcję:
„Ja ppłacę, ja się truję!“

— Europpo! Wybacz, pproszę,
Że poppieranie Loppa
Uważam dziś ppotroszę
Za błąd, czyli za faux ppas.

MASKARADA

Kto jesteś, urocza maseczko?
Kręconą na masce masz trąbę,
Podrzucasz balonik, sztynkbombę,
I cuchniesz siarczyście, małpeczko.

Ja także mam pysk bazyliszka
I trąbą wywijam słoniową.
Ach, jaka smrodliwa intryżka
Z wytworną maseczką gazową!

Twe nozdrza tak sapią z pod merli!
Chcesz tańczyć, o luba? Już idę!
Powąchaj, jak goście prześmierdli
Dichlorodiaethysulfidem.

Bajeczne! Ten figlarz, ten duduś,
Ma głowę rozdętą jak bania
I dusi się, krztusi się, słania,
A udław się, bydlę, a uduś!

Mecenas w pęcherzach i wrzodach
Nabrzmiewa wesoło i śpiewa,
Bulgoce w nim ropa i woda,
Krew ruda mu płucka zalewa.

Dyrektor jest w pysznym humorze
I rzyga za dekolt danserce.
Zabawny! Już więcej nie może,
Więc gardłem wypuszcza swe serce.

Łakoma i wietrzna Anetka
Przejadła się chloropikryną
I gnije i flaczki z niej płyną,
Urocza, szampańska kobietka!

Pan hrabia już zdechł, a pan baron
Biegunkę ma, tarza się, rzęzi
(Z fosgenem zaszkodził mu balon)
Jak można! Tu bal — a on ęsi.

O, bawmy się! Smródźmy do śmierci!
Na chwałę ludzkości się smrodzi!
Ja śmierdzę, ty śmierdzisz, on śmierdzi,
My wszyscy śmierdzimy! Nie szkodzi!

STOP!

Stop! Dosyć! Jużem z nim mówił,
Z nim, z tym jedynym,
W prościutkiej linji antypodą moim:
— Hallohallo! Polskie radio! Tutaj Tuwim!
— Hallohallo! Tutaj (djabli wiedzą!) Filipiny!
Tutaj tygrysy ryczą,
Pański bliźni tutaj stoi!
— A jaka pogoda?
— Dobra!
— No to byczo!

Stop! Dosyć! O siódmej rano
Z mego balkonu na Chłodnej
W powietrze wzniósł mnie
Kieszonkowy składany aero - ford
(Tani, praktyczny, wygodny)
I punktualnie o ósmej
Znowu go miałem w kieszeni — na Place
de la Concorde.
Sursum forda!
Każdy siódmy robotnik ma samochód,
Każdy siódmy samochód — robotnika
AUTROPOS (breveté).
Oszczędność. Praktyczność. Stały dochód.
Z danych statystycznych wynika,

Że:

1914	375	a	!	U W A G I
1918	58796	a b	!!	
1929	134890	a b c	!!!!!	
2017	2976351	a b c d	!!!!!!!	
3643	7893017	b r r r !	?	

Furkot i trzask metalowy
Śmigieł i skrzydeł,
Sznury barwnego dymu piszą na niebie litery:
„Savon Bonton — książe mydeł“,
„Drinksy Ltd — Old Cherry“.

Stumiljonową stolicę
Zacisnął w zębach świecących czeluści
Opancerzony glob!
Widzisz Wielką Niedźwiedzicę?
Citroënem się zaraz po kosmosie puści!
Stop! Stop! Stop!

W Nicei,
Na tarasie hotelu „Negresco“
Smród, pisk, gwałt,
Zajęte wszystkie stoły;
Śmieszki, umizgi, klepanie po brzuszku!
Co się stało?
Przyjechało pięć tysięcy małp

Wygrzać sobie na słońcu gruczoły,
Zamówione przez wesołych staruszków!

Stop! Stop!
W każdym Krasnokokszajsku
Uświadomiony chłop
Ma samochód, motocykl, rower,
Dom z żelazobetonu
(Projektu panny Żarnower),
Elektryczną krówkę,
Ulizane dzieci,
Bibljotekę z tysiąca tomów
I kanarka, co śpiewa międzynarodówkę.

Stop! Stop!
Najskuteczniejsze zastrzyki!
Pigułki na rozkosz nieśmiertelną!
Gwarancja Wiecznych Czasów!
Patentowane specyfiki:
„Insaeculasaecularyna", „Aeternol"
I „Dwuwiecznian nieskończonasu".

Stop! Stop! Stop!
Profesor Frasske
Skonstruował antygazową maskę.
Profesor Glass
Wynalazł antymaskowy gaz.
Glass nazwał gaz „antyfrasske",
Frasske nazwał maskę „antyglass",
Na to Glass — nowy gaz,
Na to Frasske — nową maskę,
I znów obaj — jeszcze go raz!

Ścigają się, łebek przy łebku,
Użerają się, jak z kogutem kogut!
„BABKA ZA DIEDKU, DIEDKA ZA RIEPKU,
TIANUT, POTIANUT, WYTIANUT'
NIE MOGUT".

A w Pradze
Zwykły piesek Hau - hau,
Karmiony ekstraktem z witamin
Przez pewnego slawistę,
Zdał
Z gramatyki starocerkiewnej egzamin
I konjuguje: „Bychom, bysza, bystie"...

Stop! Beniek Spinka z IV-b klasy,
Radjoamator,
Złapał na fali 303
Jazz-band z Saturna.
Artykuł w „Naszym Przeglądzie": „Zwycięstwo
rasy",
Frenetyczne przyjęcie w New-Yorku,
Chicago rży!
Aut oszalałych zator!
Samochodowa Chodynka!
Hip hip Bendżemen Spinka!
Lindberg z obłoków
Obrzuca Beńka kwiatami!
Siedem tysięcy zaduszonych w tłoku!
Beniek ma pałac w Miami.

Teraz
W stuwichrowej rakiecie, spacerem,

Na majówkę — za świat, jak za miasto!
„Te, Kolasiński, jadziesz? Będziemy propellerem
Ubijać z Mlecznej Drogi śmietankowe masło!".

Stop! Stop! Stop!
Na Pacyfiku
Zbudowano wędrowną Wieżę Babel,
Wybablono wieżę pod sam strop,
Himalaje przy niej — kupka gnoju.
Jak gdzie wojna wybuchnie,
Automatycznie, przez kabel,
Gasi się wojnę promieniami Pax:
Skoncentrowaną ideą pokoju.

Stop! Wszystko w pastylkach i kapsułkach:
Filé sauté, bigos, kilki i kokilki!
Nawet żebracy
Zapomnieli o chlebie i bułkach.
— „Dziedzicu, jezdem bez pracy,
Dziedzic da na pastylki!".

I t. d., i t. d., i t. d.
Wszystkich cudów, czytelniku, nie wypowiem,
Tylko z zachwytu rżę,
Albowiem
Z danych statystycznych wynika, że...
(Patrz tablicę)....

PIOSNECZKA

Idzie przez ulicę
Krwawy komunista,
Rękę w kieszeń wsadził
I tak sobie śwista:

„Hej wyrzutek ci ja
Własnego narodu,
Całkiem mnie zatruły
Miazmaty wschodu.

Detterding ma naftę,
Kreuger ma zapałki,
Ja mam kałdun pusty,
A policja pałki.

Pan żre kawior, a ja
Nie mam na razowiec,
Dobrze mi, draniowi,
Bom ja wywrotowiec.

Hrabia jeździ Buickiem,
Hrabina Minerwą,
Ja na tramwaj nie mam,
Dobrze mi tak ścierwu.

Krupp armatę zrobi
Pod protekcją Boga
I wróg zacznie kropić
W odwiecznego wroga.

‚Ważne ma powody,
Znane nawet dziecku,
Bo ja klnę po polsku,
A on po niemiecku".

OCH, ŻEBY TAK...

Och, żeby tak Wołga-matka wstecz popłynęła,
Żeby się tak, bracia, młodość odnowa zaczęła!
Och, żeby tak zimą kwiaty kwitły dalej!
Żebyśmy wciąż kochali a nie przestawali!
Żeby tak dna morskiego dosięgnąć a zmierzyć!
Żeby tak można było hożym dziewkom wierzyć!
Och, żeby tak wszystkie baby były młódki!
Żeby w sztofie mniej wody, a więcej wódki!
Żeby tak od picia głowa nie słabła!
I żeby tak czynowników pod żebra i do djabła!
Żeby kieszenie były od złota za ciasne!
I żeby nam, bracia, kaftany mieć własne!
Żeby tak głodny codzień przy obiedzie siedział,
A nasz car-batiuszka całą prawdę wiedział!

(z Aleksego Tołstoja)

Julian Tuwim

PYCHA

Chodzi Pycha, nadyma się,
Pod boki, ważna, trzyma się,
Wzrostu w Pysze łokieć i ćwierć,
A czapka na niej jak żerdź.
Brzucho w perłach, klejnotach,
Zadek cały ze złota.
A i poszłaby Pycha do ojca-matki,
To wrota niebielone!
Pomodliłaby się Pycha w kościele,
To jej niezamiecione.
Patrzy Pycha: tęcza na niebie...
Zawróciła, powiedziała:
— „Nie będę się ta schylała!"...

(z Aleksego Tołstoja)

W CUKIERNI

Śród wykwintu kokociego cukiernianej atmosfery,
Gdzie nad mdławą białą kawą płyną kłęby
z papierosów,
W pstrokaciźnie wyświechtanej, gdzie mężatki
i hetery
Pożerają się oczyma, przekrzykują tembrem
głosów,
Gdzie szelmowskie manekiny w nudne twarze
ciastka pchają,
Gdzie się „smęci“ nikłe grono literacin
mędrkujących.
Wstanę, gwizdnę, rozszalały, nad pachnących
mydłków zgrają
I w tłum rzygnę złotą lawą słów namiętnych
i gorących:
„Gdzie jesteście, Papuasy w pędzie na różowych
słoniach?
Gdzie jesteście, lasy w ogniu? Krwawe zbiry?!
Ostre noże?!
Oceany alkoholu?! Hunny na arabskich koniach?!
Potrzaskane łby mamutów?! I ty, wściekłe groźne
morze!!?“

(Naśladowanie wiersza Konstantego Balmonta „W gostinoj“)

(1914)

I GŁUPCOM...

I głupcom dane jest natchnienie,
Co upojenie i płomienie,
Jak i genjuszom, zsyła im.
Każde na świecie tym stworzenie
Ożywia wiosna czarem swym.
Cóż głupiec, gadający brednie,
Osiągnie z tej równości szczytnej?
Kapusta wprawdzie go rozedmie,
Lecz laurem dureń nie zakwitnie.

(z Boratyńskiego)

BALLADA STAROFRANCUSKA

1 Żył raz
Elon lanler liron
Elon lanla bibon bonbon
Ebon lilon lanler
Żył raz
Liron elon lanler
Lalon lila bibon bonber
Żył raz na świecie
Lanlanler
Zegarmistrz Jean Fracasse,
Elon lanler
Bibon banber
Zegarmistrz Jean Fracasse.

2 A był
Elon lanler liron
Elon lanla bibon bonbon
Elon lilon lanler
A był
Liron elon lanler
Lalon lila bibon bonber
A był chłop dzielny
Lanlanler
I bardzo dużo pił
Elon lanler
Bibon banber
I bardzo dużo pił.

3 Raz wszedł
Elon lanler liron
Elon lanla bibon bonbon
Elon lilon lanler
Raz wszedł
Liron elon lanler
Lalon lila bibon bonber
Raz wszedł do szynku
Lanlanler
I urżnął się tam wnet
Elon lanler
Bibon banber
I urżnął się tam wnet.

4 I już
Elon lanler liron
Elon lanla bibon bonbon
Ebon lilon lanler
I już
Liron elon lanler
Lalon lila bibon bonber
I już po wszystkiem
Lanlanler
I koniec — bo i cóż?
Elon lanler
Bibon banber
I koniec — bo i cóż?

LE STYLE C'EST L'HOMME

czyli wierszyk o Andzi, co ukłuła się i płakała, w interpretacji rozmaitych poetów

„Nie rusz, Andziu, tego kwiatka,
Róża kole“ — rzekła matka,
Andzia matki nie słuchała,
Ukłuła się i płakała.

MIKOŁAJ REJ

Posłuszeństwo rodzicom — wielka roskosz

Wierę, najpirwej dziatkom godzi się poćciwość,
Jako z ni jest żywota wszelaka szczęśliwość,
Wżdy się to w wirszu snadnie może pokazować,
Iżby się rodzicielskim słowiem nie sprzeciwiać.
Rzekła matka Anusie, by róż nieruchała,
Aleć rozważne mowy Anuś nie słuchała;
Nizacz to wszytko maiąc, naprzeciw przestrodze,
O kolec się ukłuwszy, zapłakała srodze.

LEOPOLD STAFF

Wiem... zbyt drogo okupię radość nikłej chwili,
Która mnie smętkiem szczęścia złudnego upoi,
Gdy się za różą bladą tęsknota wysili
I zakwitnie przedziwnie w wątłej dłoni mojej.
Lecz muszę dłoń wyciągnąć, co mi służy wiernie,
Bo nazbyt mi tęsknota w cichem sercu wzbiera.
I krwawi się dłoń jedna o kolące ciernie,
Gdy druga — łzy radości i szczęścia ociera.

HENRYK HEINE

Dzisiaj nocą o niej śniłem
I płakałem rozrzewniony;
Moja luba była w sadzie,
Gdzie rósł róży pąk czerwony.

Ach, szczęśliwy mały kwiatek!
Chciała zerwać róży pączek,
Choć ją mama ostrzegała,
By nie skaleczyła rączek.

I figlarna ma pieszczotka
Poraniła się boleśnie
I płakała — ach, tak smutnie,
Jak i ja płakałam we śnie.

ADOLF NOWACZYŃSKI

dwa meandry

Gdy czech żelazem pracuje i stalą,
To u nas kwitną złotych śnień ogrójce,
Płodzą się poezjanci i przemysłobójce,
Judejczykowie falą na nas walą.
A fe-Feldmany „miss Tykę“ nam chwalą.
— Gwiżdżę na waszą romantyczną trójcę!

Katerloróże rwać — to wasza gratka!
Kwiatka poezji młódź nie zaniechała
I ustawicznie gustawicznie pała.
Niech pamiętają, co raz rzekła matka
Do Andzi! Aby nie ruszała kwiatka
I jako potem Andzia — zapłakała...

OR–OT

Na Kanonji jest facjatka,
Co się w zwojach bluszczu chowa,
Mieszka w niej z córeczką Andzią
Zacna pani Maciejowa.

Cnót mieszczańskich zawżdy pomna
Urodziwą córę chroni,
Kwitną mores jak za dziadów
Na facjatce, na Kanonji.

Kwitną także przednie róże
W oknie pani Maciejowej,
Ostrzeżona matki słowy.
Nie rusza ich śliczna Andzia

Bowiem rzekła Maciejowa,
Jak troskliwa, zacna matka:
„Róża kole, moja Andziu,
Nie rusz tedy tego kwiatka"!

Płyną lata, lata płyną,
Kiedyś Andzia zapomniała,
W dłoń dziewczęcą kwiat chwyciła,
Ukłuła się i płakała.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI

Hanka stała z utkwionemi w jeden punkt oczyma. W mózgu jej płonęły wściekłe nawałnice szalonych paroksyzmów boleści. Te róże — — — te róże czerwone — — — Wirski zaśmiał się... „He,

he... Pani patrzy na kwiaty... A róże kolą... Krew! Rozumie pani?". Z histerycznem łkaniem chwyciła róże z wazonu i zaczęła wbijać sobie w palce długie, ostre ciernie... „Ryszardzie, miłość moja! Ryszardzie — ten obłędny taniec, taniec śmierci! Ryszardzie, krew!".

Wirski wstał, kopnął ją, napił się koniaku, wypalił nerwowo kilka papierosów i wyszedł.

A Hanka szlochała.

...szlochał deszcz za oknem.

TADEUSZ MICIŃSKI

Ja — bardów król!
Ja — wareg śród wulkanów!
Od Orizawy stóp do Kamczadałów pędzę...
To los, mój los...
W Sybirach mroźnych lucyferowe siwych matek jęki:
Córko moja!
Anno złotowłosa!
Żołdactwo cię hakami szarpie,
Złowieszcze pędzą harpie...
O, róży sarońskiej nie rwij dłońmi blademi!...
Ellenai... Ellenai...
Rozpuszczasz zwoje złotych kos
I krwawisz sobie palce o ciernie
I płaczesz,
Królewno anheliczna, magów Gwiazdo!
...To los twój, los...

MAURYCY MAETERLINCK
(z cyklu „Quinze chansons")

Matko... zakwitł blady kwiat...
Córko... jedzie ktoś z oddali...
Matko... pierścień w wodę wpadł...
Córko... światło się nie pali...

Matko... zerwę blady kwiat...
Córko... ktoś nas długo szuka...
Matko... czekam tyle lat...
Córko... ktoś do okna puka...

Córko... córko... kole krzew...
Matko, kwiat ten zerwać muszę...
Córko, na twych dłoniach krew...
Matko, płaczą nasze dusze...

KAZIMIERZ LASKOWSKI (EL)

Rach, ciach, ciach, stoi chatka,
A przed chatką pani matka,
Stoi córuś przy stodole
Córuś, córuś, róża kole!

Prosiak w błocie, kot na płocie,
Stoją pola w szczyrym złocie,
Rach, ciach, ciach, dana — dana,
Stoi córuś zapłakana!

Nie pomogła matki rada,
Ukłuła się, teraz biada,
Teraz biada zapłakana,
Rach, ciach, ciach, dana — dana!!!

(1914)

JAK BOLESŁAW LEŚMIAN NAPISAŁBY WIERSZYK – „WLAZŁ KOTEK NA PŁOTEK"

Na płot, co własnem swojem płoctwem przerażony,
Wyziorne szczerzy dziury w sen o niedopłocie,
Kot, kocurzak miauczurny, wlazł w psocie-łaskocie
I podwójnym niekotem ściga cień zielony.
A ty płotem, kociugo, chwiej,
A ty kotem, płociugo, hej!

Bezślepia, których niema, mrużąc w nieistowia
Wikłające się w plątwie śpiewnego mruczywa,
Dziewczynę-rozbiodrzynę pod pierzynę wzywa
Na bezdosyt całunków i mękę ustowia.
A ty płotem, kociugo, chwiej,
A ty kotem, płociugo, hej!

SPRZECZKA Z ŻONĄ

Lojalnie mówię do żony:
„Małżonko, jestem wstawiony".

Odrzekła z pogardą: „Błazen!
Uważam, że jesteś pod gazem".

Mówię: „Przesady nie lubię.
Przysięgam ci, że mam w czubie".

Powiada: „Kłamiesz, kochany.
Twierdzę, że jesteś pijany".

„Nie przeczę, mówię, żem hulał,
Lecz jam się tylko ululał".

Odrzekła: „Łżesz, jak najęty.
Poprostu jesteś urżnięty".

„Ja, mówię, nic nie skłamałem;
Doprawdy, pałę zalałem".

„Kłamstwo, powiada, co krok!
Jesteś urżnięty w sztok".

„Oszczerstwo! oświadczam z gestem:
Pijany jak bela jestem".

„Baranek, krzyczy, bez winy!
A kurzy mu się z czupryny".

Wyję: „Niech pani przestanie!
Ja jestem w nietrzeźwym stanie".

„Łżesz, mówi znów, jak najęty!
Trynknięty jesteś, trynknięty!"

„Nieprawda, ryknąłem na to,
Ja jestem pod dobrą datą!"

„Gadaj, powiada, do ściany,
Wiem dobrze: jesteś zalany!"

„Jędzo, szepnąłem, przestaniesz?
Ja — zryty jestem! Ty kłamiesz!"

— — — — — — — — — —

Godzinę trwała ta sprzeczka,
Aż poszła na wódkę żoneczka.

A ja, by się nie dać ogłupić,
Także poszedłem się upić.

BOGOBOJNEJ MACIERZY POLSKIEJ Z CÓRKĄ SATANISTKĄ DYSKURS,

w którym, poczciwym uszom folgując, figle sprośne szatanów łacińską wyrażone są mową*

— Córuś moja, córuś moja,
Jak to tam bywało?
— Pudet dicere, o mater!
— Powiedz, córciu, śmiało.

— In cubiculum me iecit
Magno cum fervore
O, puella, inquit, vide:
Ardeo amore.

— Córuś moja, córuś moja,
Jakie miał maniery?
— Tetigit me impudice,
Femora aperi.

— Córuś moja, córuś moja,
Co było pozatem?
— Hic satanas fecit mihi
Magnam voluptatem.

— Powiedz wszystko, gdy cię, córko,
Już na spytki wzięłam.
— Totis artubus concepi
Artem veneream.

---

* Z czasów procesu marjawickiego.

— Czy to robił lege artis
Czy był jaki feler?
— Titillabat, osculabat
Fervidus et celer.

— A jak często? Wymień, złoto,
Całkowitą sumkę!
— Mater mea, mater mea,
Semel iterumque!

— Córuś moja, straszne rzeczy,
I skończenie świata!
— O, eximia delectatio,
Eram tam beata!

— Wstydź się, córko, bo to hańba
I kompromitacja!
— Sed iuvabit meminisse!
— Racja, córuś, racja!

ŻABY ŁACINNICZKI

— Miłe żabki, składam dank wam
Za to: „Quamquam! quamquam! quamquam!".

Podziękowań cała sakwa
Za to „qua qua qua" in aqua.

W sercu mem na zawsze utkwi
To piskliwe „ut qui! ut qui!".

Smutno mi. Straciłem wiarę.
Nie pytajcie: qua re? qua re?

...Głośny tłum żabich kum
Kumkać zaczął: „Cum, cum, cum!"

(Zaznaczając, że to cum
Jest cum con-se-cu-ti-vum).

Z ILJADY

...Gdy się to działo, geroje w Olimpie na radę
zasiedli
Wokół krzaczasto - brewego Zeusa - Belwederczyka,
Który, dzierżąc buławę w nieustraszonej prawicy,
Lewą ręką miętosił siwo - sumiaste wąsiska.
Był tam wysokogolenny Becktor Monokles waleczny,
Premjeryda przesławny i Ziemiotrzęścy powiernik;
Był Rydzejos Insp - Hektor, bystro - śmigły
wojownik,
Chmurowładcy następca według pytyjskiej wyroczni;
Przy nim młody Pierates, sławoida, roztropny,
Dalej — chytrowyborczy Megafonistes Świtander;
I Policjantos Jagrymojs w hełmie pierzasto-
straszliwym,
Był Wieniawontes odważny, ambrozjo-chłeptacz
sławetny,
Sławekaon dorodny, strzępo - brodaty i łysy
Z rodu majonidesów nieustraszony bebejda
Oraz inni mężowie zbrojno-orężni i władni:
Cares, Kocydes, Sławojdon, Prystoraj i Jaroszejdos,
Stamiraklit, Ścieżynor, Miedzintet i Matuszelaj.

Jako zaś lew złotogrzywy na stado królicze spogląda
Prężąc ostro-pazurne łapy do skoku nagłego,
Szczerząc kły przeraźliwe na upatrzoną ofiarę:
Takim wzrokiem spoglądał Piorunogromca potężny
Na dzwoniących zębami nieustraszonych herosów.

Wreszcie znak dał buławą, że będzie mówił za chwilę
I polotnemi słowami z przymówką rzecz wypowiada:

„Boscy sanacyjczycy, synowie Marsa waleczni,
Którzyście walne odnieśli pod murem Sejmjonu
zwycięstwo,
Dwustu czterdziestu dziewięciu bebejdów przynosząc
mi w darze!
Owszem, pochwalam tę sprawę, ale mi brak
pięćdziesięciu
Fajdanajów z Blokadji bystro-posłusznych
i wiernych,
Jeśli szeroko - dzierżawną zdobyć mam
Konstytuteję,
Skądże wezmę tych mężów, gdy dzieła przyjdzie
dokonać?“.

Rzekł; a strach bladolicy padł na strapione oblicza
Nieulęknionych wojaków, odważnie w ziemię
wpatrzonych.
Wreszcie tak się odezwał Świtander
filharmonijczyk:
„Ojcze gromów i grzmotów! Buławonośco
wszechwładny!
Zrobi się!“
Na to głowami kiwnęli wszyscy w Olimpie zebrani:
Becktor wysokogolenny, Rydzejos śmigły wojownik.
Sławoida Pierates i Wieniawontes z Pijantu,
Policjantos Jagrymeus i Sławekaon dorodny,
Cares, Kocydes, Sławojdon, Prystoraj i Jaroszejdos,
Stamiraklit, Ścieżynor, Miedzintet i Matuszelaj.

POWODY

piosenka na majową melodję

Te i owe ma wiosna powody,
Żeby w mieście robić zamieszanie.
Te i owe ma wiosna metody,
Gdy zaczyna występne działanie.

Te i owe, swoje, majowe,
Wiatr powody miał (co tu ukrywać),
Żeby kartki kalendarzowe
Między kwietniem i czerwcem powyrywać.

To właściwie był tomik wierszy,
W rok wprawiony, jako sublokator:
Niespokojny, obcy, inowierczy.
(Bo zawiany był introligator).

A wiadomo, że wiatr to miłośnik
Lotnych listków, wietrznych sprawek — słowem:
Miał powody, przywiał je, przywiośnił,
Te i owe, swoje, majowe.

Oknem wpadł na kalendarz! Nawylot
Przeszeleścił poezję liściastą,
Potem szarpnął, porwał — i jak pilot
Górnolotnie z nią frunął nad miasto.

Widząc rwące się w błękit ogrody,
Wgórę zadarł policjant głowę,

Bo i on miał intymne powody,
Te i owe, swoje, majowe.

Zaczął śpiewać o pomoc, posiłki,
Dyrygując pałeczką zakwitłą.
Jak Rastelli tęczowe swe piłki,
Dni podrzucał w pogodę błękitną.

Gdy na alarm zjawiły się z pompą
Miarodajne czynniki rządowe,
To stwierdziły wesoło, że są to
Te i owe wypadki majowe.

POETA, SIEDZĄC W OKNIE BARU NA NOWYM ŚWIECIE, OBSERWUJE OŻYWIONY RUCH SAMOCHODÓW

Między Zamkiem i Belwederem
Ruch:
Jędrzejewicz Austro-Daimlerem
Buch!

Nastroiłem się mocarstwowo,
Więc
Najpierw większą monopolową
Bęc!

I wnet drugą, bo co za wdzięczny
Traf:
Mknie Pieracki (Br., od wewnętrznych
Spraw).

Wojewoda z szefem policji
Fiu!
Broń nas, Władziu, od prohibicji!
Lu!

Beck przejechał! O, jakże czule
Drżę!
Panie ober! Proszę o Boule-
stin!

Michałowski pędzi! O, dura
Lex!
Vivat prawo! Wogóle — hurra!
Ex!

I Butkiewicz, którym był dawniej
Kühn!
O dżin proszę! Albo — dokładniej:
Dżühn.

I Zawadzki i Adam Finans
Koc!
Skarby moje! Piję za bilans!
Hoc!

I Świtalski ze swym kolegą
Mknie.
Proszę podać bombę jasnego!
Dwie!!

Znów ktoś pędzi! Czy to nie Bartel?
O?!
Panie ober, raz większy Martel!
No!

Same tuzy! A gdzie jest Prystor
As?
Odpoczywa? To proszę czystą
Raz!

A gdzie Sławek? O, jedzie! Vivat!
Hej,
Ober, lej pan rumu do piwa!
Lej!

— Wreszcie szampan z dużym żywieckim,
Bo
Mknie Błękitny z małym Lepeckim!
O-o-o-o-o!!!

EIA, EIA, ALALA!

W Sulejówku po ogródku
Chodził sobie powolutku,
„Rozmaryna“ nucił — lub
„Hupaj-siupaj-hupaj-siup“.

„Poranniaka“ czytał pilnie,
Marszczył brwi i klął odtylnie,
— Hocki klocki, be ni me,
Dobre pismo, lecz do d...

I powiada do Wieniawy:
Pojedź no pan do Warszawy,
Takie bujdy ja mam gdzieś,
Ty mi inne pisma zwieź!

Przywiózł Bolek gazet masy:
Cały stos endeckiej prasy.
Stary spojrzał: „Dobrze. Idź
Do Ziemiańskiej kawę pić“.

Sam się zamknął w pokoiku,
Usiadł sobie przy stoliku,
Czyta miesiąc, czyta dwa,
Eia, eia, alala!

Czyta, jak „Rzeczpospolita“
Pieje hymny dla Benita,
Że parlament w d . . . . ma,
Eia, eia, alala!

Czyta to, co pisze B. K.,
Czyta, jak się Adolf wścieka
I jak nucą obydwa:
Eia, eia, alala!

Jak „Corriere di Varsavia“
Onorevola wysławia,
Że ojczyznę siłą pcha,
Eia, eia, alala!

Jak Ligocki nam zaleca,
Żeby śpiewać „Giovinezza“!
Jak pobudkę byczo gra:
Eia, eia, alala!

Jak się pieni całe bractwo
Na spróchniałe demokradztwo,
Jak na zamach czyha! Ha!
Eia, eia, alala!

Wrzasnął dziadek: Żono! dzieci!
Przekonali mnie faceci!
Idę robić to co trza!
Eia, eia, alala!

Taka się zrobiła heca,
Primavera di belleza!
Per Giusseppe e la salvezza
Della nostra liberta!
Giovinezza, giovinezza!
Eia, eia, alala!

BRACIA*

Przywołał brata brat
I bratu brat powiedział:
„By zaprowadzić ład,
W finansach będziesz siedział".

Brat nagle z krzesła spadł
I jęknął: „Gdzie? W finansach?"
— Tak, odrzekł bratu brat,
Będąc po trzech pasjansach.

Lecz nie odmówił brat,
Przeciwnie: spojrzał dziarsko
I zaprowadzać ład
Pojechał na Rymarską.

A brat, ogromnie rad,
Mruknął, gdy brat wychodził:
„Mój brat — to dobry brat,
Bo jabym się nie zgodził".

---

* Po nominacji Jana Piłsudskiego na ministra skarbu.

„MEIN LIEBCHEN, WAS WILLST DU NOCH MEHR?"

Nie perły, djamenty, lecz cuda,
Ach, cuda masz zawsze gdy chcesz:
Nad Wisłą — ten pięknie się udał,
Nad Urną — ten udał się też.
Masz klucz, co ci Zamek otwiera,
I „nawę państwową" i ster
I swego Walera premjera,
Mein Liebchen, was willst du noch mehr?

Nie będzie nad byle kawałkiem
Parlament zbyt głośno się darł,
Bo Kazio jest sejmu świtałkiem,
A wiceświtałkiem jest Car.
Nie będzie okrzyków prócz „hurra!!"
Wzbronione szemranie czy szmer.
Niech żyje sejmowa cenzura!
Mein Liebchen, was willst du noch mehr?

Nie przeczę: gdzieś mogła być skaza,
Przesada, omyłka, czy błąd...
Lecz pobór do sejmu pokazał,
Że jedność w narodzie — to gront.
Szli razem: żyd, rusin i mongoł,
Hrabiowie, sanojce i kler
I rabin polowy i Żongołł!
Mein Liebchen, was willst du noch mehr?

I senat sejmowi, jak bratu,
Zatwierdzi, co chcesz — tylko każ,
Bo pan Wojewoda Senatu
Wileński za sobą ma staż,
I niech cię już głowa nie boli
O budżet, cyfr parę czy zer,
Niech sobie już Ignac pozwoli!
Mein Liebchen, was willst du noch mehr?

Już pan Michałowski wziął Themis,
Już Norwid uprawia R. P.
Już Prystor ma handel i przemysł,
A Szczapa oświatę in spe.
A jabym dał jeszcze, panowie,
By komplet z fachowych mieć sfer,
Kostkowi higjenę i zdrowie.
Mein Liebchen, was willst du noch mehr?

WIENIAWA

Co kilka dni się do mnie
Ktoś nowy z prośbą zgłasza,
Zaczyna arcy-skromnie
I bardzo mnie przeprasza:
„Pan mnie wysłuchać raczy,
O drobną chodzi sprawę,
Co to dla pana znaczy?
Pan przecież zna Wieniawę!“

W tych dniach się brunet zjawił,
Interes ma gotowy:
„Czy rządby wydzierżawił
Monopol tytuniowy?
Nie chodzi o przekupstwo,
Dość zmienić jest ustawę!
Dla pana to jest głupstwo!
Pan przecież zna Wieniawę!“

Dentysta pewien z Brześcia,
Brat szwagra mej kuzynki,
Chce dla hurtowni teścia
Sprowadzić z Włoch rodzynki.
Godzinę mi tłumaczy,
Uderza w tony łzawe:
„Co to dla pana znaczy?
Pan przecież zna Wieniawę!“

Ignacy Pupcikowski
(Brat mleczny naszej praczki,

Pochodzą z jednej wioski)
Wyrabia wykałaczki.
„Szanowny pan wybaczy,
Do armji chcę dostawę...
Pan słówko szepnąć raczy,
Pan zna pana Wieniawę..."

Mimosenblum Maurycy
Artylerzystę syna
Chce przenieść do stolicy
Z Radomia czy z Lublina.
„On płacze i on płacze,
On kocha tak Warszawę!
Co to dla pana znaczy?
Pan przecież zna Wieniawę!"

A wczoraj (nie wierzycie?
Pod chajrem! bez przechwałek!)
Przychodzi do mnie skrycie
Poprostu — sam Marszałek.
I prosi o dyskrecję,
Bo ma intymną sprawę,
A wierzy w mą protekcję:
„Pan przecież zna Wieniawę!"

...Choć prosił — nie uległem,
Choć groził — wytrzymałem.
Gdy skończył mówić, rzekłem:
„Nie mogę! Próbowałem!
Do Wróbla się nie chodzi
Na mleczko ani kawę,
A zresztą — co to szkodzi?
Pan przecież zna Wieniawę!"

KOSTEŻ
(Ballada)

Ktokolwiek będziesz w nowogródzkiej stronie,
Do Płużyn ciemnego boru
Wjedź i siedź cicho, jak mysz na ogonie,
Żeby nie stracić humoru.

Kosteż tam mętne rozprzestrzenia łona
Ku przerażeniu narodu,
Gęstą po bokach plotką oczerniona
Z bardzo znanego powodu.

Jeżeli nocną przybliżysz się dobą
I zwrócisz ku miastu oblicze,
Trwoga przed tobą a skutki pod tobą,
A co zobaczysz — nie życzę.

Bo odniedawna ziemia nowogródzka
Strach siny naokół budzi
I żeby jechać w noc do województwa
Trzeba być najśmielszym z ludzi.

Bo jakie szatan wyprawia tam harce,
Jakie się larwy szamocą!
Drżę cały, kiedy bają o tem starce
I strach wspominać przed nocą.

Co to ma znaczyć? różnie różni plotą
I ten coś gada i tamten,

Biegają wieści pomiędzy prostotą,
Lecz człowiek nie jest demantem.

Pan na Wyżynach, którego pradziady
Były na Litwie dziedzice,
Zdawna w Przemyślu chciał zmienić posady,
A był tam pewien oficer.

I gdy wybory w każdem robił mieście
I wielkie sypał wydatki,
Związano wielu, posłano do Brześcia
I uszkodzono pośladki.

Ja ostrzegałem, że w tak wielkiem dziele
Dobrze, kto Boga przywoła,
Więc na mszę dano w niejednym kościele
I ksiądz przyjechał z Żongołła.

Stanął na baczność, ubrał się w ornaty,
Przeżegnał pracę, pokropił,
Pan daje hasło: odbijają baty,
Aż naród z szumem się stropił:

„Do czego dąży, kiedy jedni z trwogi
Na miejscu stanęli głazem,
Drudzy zwrócili ku ucieczce nogi
Przed popularnym wyrazem?

Młodzieńcy, wiedzcie, że tutaj bezkarnie
Nikt dotąd portków nie spuścił!
Ma już tam wszystko! Co jeszcze zagarnie
Do nieprzebrnionych czeluści?“

. . . . . .
. . . . . .

Choć godna kary jest ciekawość pusta,
Lecz co nad Bugiem poczęli,
Bug wam przez moje opowiada usta:
Dzieje tej brudnej topieli.

Mógł czas te dzieje wymazać z pamięci
I znikłby sam odgłos kary,
Lecz znów w swych baśniach prostota go święci
I myśli sobie: „Oj, Stary!"

A to, co dawno pękło nakształt rowu,
Niech za tem myśl już nie goni,
Niech Kosteź ciszą nakryje się znowu
By nie słyszano już o niej.

SKRÓT „WESELA" ST. WYSPIAŃSKIEGO W JEDNEM ZAPYTANIU I 17 ODPOWIEDZIĄCH

Zapytanie: Cóż tam, Panie, w polityce?

Odpowiedzi: — Pan się boją we wsi ruchu.
— Koncept narodowy gaśnie.
— Sami swoi, polska szopa.
— Bałamuctwa w wielkim stylu.
— Ensemble, jak feerja z bajki.
— Ciewy, ciewy z kiepskim rządem.
— Ktoby zadarł z tą bestyją?
— Wojewoda, wojewoda,
Ja pan, ćwierć kraju mam w ręku.
— A wie pan: ojczyzna to chemja.
— Odbywa się wielkie darcie.
— Sam w stolicy, ten nas zbawi.
— Cóż takiego? Kto ten stary?
— Tyla się naciskoł, szumioł,
Zwymyśloł het dookoła.
— Ja muzykę zacznę sam.
— Wszystko jest prowizoryczne.
— A umie pan kopnąć nogą?
— W powietrzu atmosferyczna
zmiana.

(1927)

TRZY BAJKI KOŹMY PRUTKOWA*

NIEZAPOMINAJKA I BRYCZKA

Z bukietem niezapominajek
Piotr bryczką jechał nocną porą,
A że odciski miał na piętach,
W domu nacierał je kamforą.

— O, czytelniku! Gdy z tej bajki
Usuniesz niezapominajki,
Zostanie jednak sensu sporo:
Gdy odcisk będziesz miał na nodze
I gdy ci ból dokuczy srodze,
To lecz się, jak nasz Piotr, kamforą.

SER I HIPOKRYTA

— Czy lubisz ser? — spytano hipokryty.
Ten odrzekł: „Lubię. Smak ma znakomity".

PASTUCH, MLEKO I CZYTELNIK

Pewnego razu niósł pastuch mleko,
Ale tak strasznie daleko
Że już nie wrócił więcej. Zginął.
Czytelniku! Czy ci się gdzie podrodze nie nawinął?

---

* Pod tym pseudonimem pisali utwory satyryczne bracia Żemczużnikow i Aleksy Tołstoj.

GRENADA

Jechaliśmy stępa,
Pędziliśmy w kłębach
I „Jàbłoczko“ - piosnkę
Trzymaliśmy w zębach.
Ach, piosnkę tę dotąd
Napewno pamięta
Malachit stepowy:
Murawa pomięta.
Lecz inną pieśń jeszcze,
O obcym narodzie,
Do siodła przytroczył
Towarzysz w pochodzie
I śpiewał, choć rodak,
Tutejszy, jak ja:
— Grenada, Grenada,
Grenada majà!

Napamięć tę piosnkę
Jak pacierz znał pański,
I skąd do mołojca
Ten smutek hiszpański?
Kijowie! Połtawo!
Od kiedyż w te strony
Przybyły z Grenady
Hiszpańskie canzony?
Nie w twojemż to zbożu,
Ukrajno, śród żniwa,
Tarasa Szewczenki

Papacha spoczywa?
Więc skąd, przyjacielu,
W piosence twej łka:
— Grenada, Grenada,
Grenada majà!

A chochoł - marzyciel
Po małej chwileczce
Powiada: „Grenadę
Znalazłem w książeczce.
Wysoki to honor
Tak piękne mieć imię,
Jest powiat grenadzki
W hiszpańskiej krainie.
Ja chatę porzucił
I walczyć szedł poto-m,
Że ziemię w Grenadzie
Ja oddać chcę chłopom.
Żegnajcie, najmilsi,
Powrócę, Bóg da!".
— Grenada, Grenada,
Grenada majà!

Pędziliśmy w znoju,
By poznać dokładnie
Gramatykę boju
I słowa armatnie.
Świt wstawał na niebie,
By znowu się schować,
I koń się utrudził
Po stepie cwałować.
Lecz „Jàbłoczko" szwadron

Wciąż grał bez wytchnienia
Na skrzypcach epoki
Smyczkami cierpienia,
I gdzież, przyjacielu,
Podziała się ta
— Grenada, Grenada,
Grenada majà!

Na ziemię od kuli
Zwaliło się ciało,
Rozstało się z siodłem,
A nigdy nie chciało.
Nad trupem się księżyc
Potoczył jak łza,
I wargi, martwiejąc,
Szepnęły: „Grena..."
Daleko, za chmury,
Unosząc swą mękę,
Przyjaciel mój poszedł
I zabrał piosenkę.
I nikt już nie słyszał
Od tego dnia:
— Grenada, Grenada,
Grenada majà!

A szwadron kolegę
Bez żalu pogrzebał
I „Jàbłoczko" - piosnkę
Do końca dośpiewał.
I tylko z niebiosów
Opadła nad nami
Łza deszczu maleńka

Na zmierzchu aksamit.
I cóż wy, najmilsi?
Za pieśnią t. knicie?
Nie wolno! Pieśń nową
Złożyło nam życie!
I składa i składa
I naprzód nas gna!
— Grenada, Grenada,
Grenada majà!

(z M. Swietłowa)

DNIEPROSTROJ*

1

Wybuchy bomb w akwedukty.
...Uuch, ty!
Grzmi grom uderzeń dnieprostrojskiej wachty.
...Aach, ty!
Echo się szerzy od Kiachty do Ochty.
...Ooch, ty!
Słyszysz Zachodzie, odgłos nowej klechdy?
...Eech, ty!
Trzymać się! Hej, wszechświatowe Detrojty!
...Ooj, ty!
My was dwukrotną, trzykrotną nadwyżką!
...Wiisz go?
Wybuchy bomb w akwedukty.
Uch, ty!
Grzmi grom uderzeń dnieprostrojskiej wachty.
Ach, ty!
Na nic, Zachodzie, zawiść i konszachty.
Ach, ty!
To nasze domny, kołchozy i szachty!
Ach, ty!
Ach, ty!
Ach, ty!
Ach, ty!
— Ach ty d'sukin syn, kamarinskij mużik,
Zadarł nogę wgórę i przez miasto myk!

---

* Fragment z poematu „Tragedyjna noc".

...Dźwięczy śpiewka, bałałajka strunką brzdąk,
Czarnobrewka, istna bajka, nóżką wkrąg.
Tryndy - bryndy, mój wróbelku srebrno - pióry,
Głosy gromu niech przebije brzęk bańdury.
Od bańdurki ciarki ciurkiem, graj dla duszy!
Bomb odgromy ćwierk cieniutki niech zagłuszy!
...Ktoś się trzeci do rozmowy wtrąca,
Głos zabiera, podejmuje spór gorący.
Sprzeczki, spory
Nowych nut:
— „Oj, na ho-o-o-ri
taj żenci
żnut“...

Oto się splotły przy grobli rosnącej, w turkocie turbiny,
„Zwień bałałajki taj dzwin Ukrainy“
Z dymem tych bomb, których trzask przeraźliwy
Jest wiosną dla młodych i sławą dla siwych.
A przy wysokim — daleko — domu
Słychać pieśń nową, szturmówkę gromu,
Pieśń — eksplozjami grzmiącą skalnemi,
Pieśń — jak radosne życie na ziemi:
— „My świat
przemocy
walką skruszym!“...
— Long lajw
Dzy proletarjen rewoluszn!

Kiedy się pieśni splątały? I poco?

Woda bulgoce.
Bomby grzmocą.

2

— Long lajw rewoluszn! — człowiek rzekł.
Po naszemu Jakób, po tamtemu Dżek,
Niby robotnik, a „nep“, prawdę rzec,
Po staremu yankes, po nowemu spec,
Z myśli filozof, po fachu instruktor,
Mówią, że mądry; bogaty? wie Bóg to.
Z bicepsów bokser, wielgachny, przy zdrowiu,
W przeszłości, w Stanach: Aj-dobl-ju, dobl-ju *,
Hauston z nazwiska, po ojcu Sammy,
A mać jego... zresztą wiecie sami.

Kiedy przyjechał, dziwaczny człek,
Po naszemu Jakób, po tamtemu Dżek,
Zaraz napsioczył, nagadał, sklął
Po naszemu mieszkanie, według niego: klo...
Według niego łapówkę, po naszemu dań,
Po naszemu robotę, według niego chrzan,
Według niego piekło, po naszemu dzień,
On powiada: złodziej, my mówimy: leń,
I długo patrzył na ogromny kraj,
Jak patrzy zima na narwany maj.

Lecz wkrótce zrozumiał, bo mądry człek,
Po naszemu Jakób, po tamtemu Dżek,
Że bujnie wzrasta z sowieckich grud
Po naszemu tempo, po tamtemu cud,
Kuznieck, Wołchwostroj, Selmaszstroj, Dniprelstan,

---

* I. W. W. — Industrialni Robotnicy Przemysłu Światowego, syndykalistyczna organizacja robotnicza.

Po tamtemu nonsens, po naszemu plan,
Po tamtemu utopja, od obłędu o włos,
Po naszemu fakt, soc-szturmowiec, sowchoz,
Po tamtemu kaprys, po naszemu sprawa,
Po tamtemu mżonka, po naszemu jawa.
Po tamtemu: bagnet czerwonogwardzisty,
Po naszemu poprostu fakt oczywisty.

(z Aleksandra Bezymieńskiego)

ŁÓDŹ

Gdy kiedyś czołem dosięgnę gwiazd
I przyjdzie chwały mej era,
Gdy będzie o mnie kilkaset miast
Sprzeczać się, jak o Homera,

Gdy w Polsce będzie pomników mych
Więcej, niż grzybów po deszczu,
I w każdem mieście zacznie się krzyk:
„Ja Ciebie wydałem, wieszczu!“ —

— Niechaj potomni przestaną snuć
Domysły „w sprawie Tuwima“,
Bo sam oświadczam: mój gród — to Łódź,
To moja kolebka rodzima!

Niech sobie Ganges, Sorrento, Krym
Pod niebo inni wynoszą,
A ja Łódź wolę! Jej brud i dym
Szczęściem mi są i rozkoszą!

Tu, jako tyci od ziemi brzdąc,
Zdzierałem portki i buty,
Tu belfer, na czem świat stoi klnąc,
Krzyczał: „Ty leniu zakuty!“

Tu usłyszałem burz pierwszych grom
I pierwsze muzy szelesty!
(Do dzisiaj stoi ten słynny dom:
Andrzeja, numer czterdziesty).

Tu przez lat dziewięć, co drugi dzień,
Chodziłem smętnie do budy,
Gdzie, jako łobuz, pijak i leń
Słynąłem, ziewając z nudy,

I tu mi serce na wieczność skradł
Ktoś cichy i modro złocisty,
I tu przez siedem ogromnych lat
Pisałem wiersze i listy.

Nawet mizerne wiersze me
Łódź oceniła najpierwsza,
Bo jakiś Książek drukował mnie
Po dwie kopiejki od wiersza.

Więc kocham twoją „urodę złą",
Jak matkę niedobrą—dziecię,
Kocham twych ulic szarzyznę mdłą,
Najdroższe miasto na świecie!"

Zaszwargotanych zaułków twych
Kurz, zaduch, błoto i gwary
Piękniejsze są mi, niż stolic szych
I niż paryskie bulwary!

Śmieszność twa łzami przyprósza mi wzrok,
Martwota okien twych ślepych
I czarnych ulic handlarski tłok
I uszargany twój przepych,

I ten sterczący głupio „Savoy"
I wyfioczone przekupki
I szyld odwieczny: „Mużskij partnoj,
On-że madam i pszerupki."

REWANŻ SENTYMENTALNY

Rzecz między nami była cicha,
Bez żadnych słów.
Westchnąłem Panią, jak się wzdycha
Gałęzią bzów.

Spojrzała Pani tak promiennie,
Że obiecuję najsolenniej:
Gdy tylko ujrzę gałąź bzów,
Na przyszłą wiosnę, westchnąć znów...
I to — znamiennie.

MINISTER I SZTUKA

Pan minister się spóźnił na początek,
A gdy przyszedł — z oburzenia zbladł:
Podejrzany, niebezpieczny wątek.
Skonfiskować! Niech mają naukę!

...Pan minister się spóźnił na sztukę
O pięć minut i piętnaście lat.

ADWOKACI

Ci — nigdy nie oszaleją... Świat będzie się już walił,
Wąż ognia równik oplecie i kontynenty zapali,
A oni, ironiści, mędrkowie wykrętów chytrych,
Wyciągną z teczki paragraf i rozprostują — na
wytrych,
I jak klaun na arenie, otworzą drzwi tekturowe,
Przejdą na drugą stronę i dumnie podniosą głowę:
„Voilà“!

SZEŚĆ FRASZEK

DO JEDNEJ

Piotr miał cię za swą dziką żądzę,
Jan za to, że jest piekny ciałem,
Alojzy miał cię za pieniądze,
Ja — zawsze cię za k...ę miałem.

ANATOL

Anatol, autor „Mandoliny dolin"',
Na Lido lecząc spleen, na lutni swej dyndoli,
W hallu „Palace'u" siadł w oczekiwaniu windy
I szuka w Lindem słów dla pindy Rozalindy.

MAŁOMÓWNA MATKA

Anielcia miała matkę bardzo małomówną,
Więc gdy kiedyś spytała z minką zatroskaną:
„Powiedz, droga mamusiu, co to jest guano?".
Mama odrzekła: „G...o".

NA KRYTYKA

Oto krytyk, który idealnie
Umie genjusz połączyć z głupotą,
Każdem słowem dowodząc genjalnie,
Że jest bardzo wybitnym idjotą.

PO USZY

Cenię urok jej wytwornej duszy,
Czar, subtelność i mnóstwo kultury.
Zakochany w niej jestem po uszy
(Oczywiście: mierząc od góry).

SYMPTOMAT

Rozwoju współczesnego miasta
Jeden z ważniejszych symptomatów:
Kiedy okolica obrasta
Sanatorjami dla warjatów.

2

Z NOTATNIKA NERWOWCA

12 grudnia.

Wczoraj wybierałem się na raut. Ogoliłem się gilletką. Poszło na szczęście zupełnie dobrze, chociaż mam twardy zarost. Byłem nawet w niezłym humorze. Męka zaczęła się dopiero przy sztywnej frako-

wej koszuli. Myślałem, że pęknę, kiedy zapinałem kołnierzyk. Palce mdlały mi. Po straszliwym wysiłku spinka wlazła. Natomiast ta druga, przy gorsie, puściła. Jakaś luźna była i wątła. Innej w domu nie miałem. Musiałem kombinować ze sznurkiem, od

spodu. Udało się wreszcie. Lecz kiedy stałem już przed lustrem, zawiązując krawat, spostrzegłem na gorsie purpurową kropelkę. Z brody widocznie kapnęło. Nie zatamowałem dostatecznie ałunem po goleniu. Chciałem wytrzeć krew z koszuli, ale jeszcze bardziej roztarłem. Zdjąłem koszulę i kołnierzyk zapomocą nożyczek. Nie poszedłem na raut.

13 grudnia.

Czekałem dziś na 17-kę. Najpierw przyszła dziewiątka. Potem piątka. Potem znów dziewiątka. Wreszcie zaczął majaczyć zdaleka numer dwucyfrowy. Dziewiętnaście. Następnie 23. I znowu piątka. Zdenerwowało mnie to. Zatrzymałem przejeżdżające auto. Kiedy wsiadałem, nadjechała 17-ka.

14 grudnia.

Czekanie doprowadza mnie do pasji. Dziś w cukierni musiałem przeczekać w ogonku do telefonu pięć osób. Kobiety mówiły bardzo długo. Jedna z nich opowiadała przyjaciółce, jakie suknie nosiły rozmaite nierządnice w nocnym dancingu. Druga tłumaczyła pewnemu mężczyźnie, że nie może. Z jednym z czekających panów miałem scysję na tle miejsca w ogonku. Zwyciężyłem i poszedłem przed nim. Numer, o który prosiłem, był zajęty. Po 20 minutach czekania! Pan, z którym się sprzeczałem, tryumfował. Znowu stanąłem w ogonku. Przedemną — cztery osoby. Cztery kobiety.

16 grudnia.

Obserwowałem dziś w cukierni pewnego pana. Powiesił laskę na krześle. Laska spadła po chwili. Ów pan podniósł ją i znowu powiesił. Laska oczywiście znowu upadła. Tak kilka razy. Przez cały czas nie miałem spokoju, bo ciągle czekałem, kiedy laska upadnie. Najbardziej denerwowało mnie niedoświadczenie tego człowieka. Po trzech — czterech razach mógł się przecież zorjentować, że trzeba zmienić system wieszania laski na krześle, a padać nie będzie. Ale ten jołop się nie domyślił.

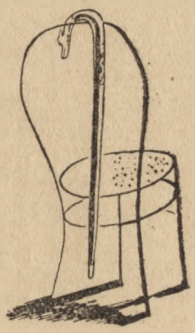

17 grudnia.

Od pięciu dni nie noszę szelek. Stare się podarły, nowych nie mogę kupić. Boże! Wejść do sklepu i zacząć wybierać szelki! Jest mi absolutnie wszystko jedno, jakie wezmę, a tam przecież otworzą kilka pudeł... zapytają czy „oryginalne angielskie"... zaczną zachwalać, demonstrować. Wreszcie zdobyłem się na śmiałość. Mówię: „Chciałbym kupić szelki". — „Jakie, proszę pana". Powiedziałem: „Jacksona i Humperdincka, oryginalne z prapoletami Nr. 19 i pół!". Subjekt spojrzał na mnie zdumiony, ale z szacunkiem. — „Tego gatunku niema". Wyszedłem z miną wyniosłą i obojętną.

18 grudnia.

Przyczepiam agrafkami do koszuli i wcale nieźle się trzyma. Humorek niczego. Cieszę się, bo byłem u dentysty. Wszystko poszło znakomicie. Nie zastałem go w domu.

19 grudnia.

Morda mi spuchła. Agrafki drą koszulę. Służąca przyniosła straszny syfon: trzeba długo trząść, zanim parę kropel wyciurka. Zdjęli firanki i portjery. W pokoju jest jasno, nago. Stasiek dzwonił, żebym mu oddał rękopis. Nie wiem, gdzie go zapodziałem. Przewracam szuflady, szafy, biurka. Wszystko jest, tylko tego rękopisu niema. To ścierwo „nie posiada kopji". Toś nie mógł, cholero, zrobić kopji?

20 grudnia.

Morda ciągle nabrzmiewa, ale nic nie boli. Męczą mnie, żebym poszedł do dentysty. Był Stasiek z awanturą. „Poda do pism". Podaj, powieś się. Noszę pasek, zapinany na klamrę. Nawet elegancko wygląda, ale męczy. Temperowałem ołówek. Cały wytemperowałem i nic nie zostało. Na stalówce — włos.

21 grudnia.

Przeniosłem pasek na twarz, żeby powstrzymać spuchliznę. Nie pomaga. Zaczyna boleć. Firanek jeszcze nie powiesili. Robią jakieś wielkie sprzątanie. Ułożyli mi na półkach książki — według formatu i koloru opraw. Wygłosiłem o służącej opinję. Odchodzi. Śród sprzątania. Stasiek przysłał list. Nie otworzyłem. Od trzech dni nie goliłem się. Boli coraz więcej. Łażę, łażę po mieszkaniu, jedną ręką trzymam się za twarz, drugą za spodnie...

Istnieje pewna zbrodnicza, miljonowa mafja, której podła działalność nie da się niestety „podciągnąć“ pod paragrafy kodeksu karnego, chociaż członkowie jej zasługują na wszelkie istniejące, a nawet zaniechane już sposoby torturowania, na ciężkie więzienie z ciemnicą, na chłostę publiczną lub dotkliwe mordobicie. Ta zorganizowania banda, ta „fera na“ ciemnych indywiduów działa wyłącznie na terenie kin. Kradną? Nie. To byłoby zrozumiałe. Wywołują zgorszenie moralne? Nie. To byłoby raczej przyjemne. Cóż więc te wyrzutki robią?

Czytają głośno napisy filmowe.

Nie wiem, kochany czytelniku, czy i za tobą łażą. Za mną — zawsze. Gdy tylko siądę w kinie, siada tuż za mną (lub czeka tam już na mnie) jakaś parka i nagłos, z kretyńskim uporem, odczytuje napisy. Jeżeli parka składa się z samca i samicy, speakerką jest zazwyczaj ona. Jeżeli to para chamów rodzaju męskiego, czytają naprzemian. Jeżeli dwie idjotki — jednocześnie. Zdarzało mi się niejednokrotnie mieć za sobą całe rodziny. Wtedy recytacje odbywały się według zasad „rozkładania głosów“ (melodeklamacja) z wpadkami cienkich głosików dziecięcych. Najgorszą odmianą tych potworów są typy, nietylko odczytujące napisy, ale wręcz i poprostu opowiadające głośno, co się na ekranie dzieje. Zjawia się napis:

„I cóż z naszą sprawą, kochany hrabio? Czy zobaczę kiedy swoje pieniądze“?

Bydlę zaczyna sylabizować:

— I... i... có... có... cóż z na... na-na-naszą sprawą ko... kocha... kochany hrabio... bio...

Napis tymczasem znikł, pyta się więc bydlęcia obok, co tam „stało napisane". Drugie bydlę mówi:

— Pytał się jego, co z tą sprawą i czy jemu forsę odda.

Na ekranie widać już hrabiego i jego adwersarza, rozmawiających z ożywieniem. Bydlę znów zaczyna:

— O! On właśnie teraz jego zapytuje, co z tą sprawą i czy odda mu pieniądze. Ha ha. Głupi byłby, żeby oddał.

Hrabia, w pogoni za cyrkówką, jest już w Bagdadzie; wybuchła tam rewolucja. Arabowie pędzą na spienionych koniach. Napisu na szczęście niema. Ale bydlę jest. Więc gada:

— Do Palestyny pojechał po pieniądze. Tam żydy na koniach jeżdżą. A jej nie może znaleźć. O — leci z rewolwerem. Coś się tego starego pyta.

Zjawia się napis: „Ale Hussan ibn Mustafa nie poznał swego dobroczyńcy".

Matowy, kretyński głos odzywa się natychmiast:

— Ale Hu... Hussan i... ibn... Musztarda... nie po... po... poznał swego dobro... dobrodzieja.

A kolega tępego chama dodaje ciekawy komentarz:

— O — nie poznał go. On nie wie, że to on, bo go nie poznał. Żeby go poznał, toby wiedział, a tak to nie wie.

...A tu już maharadżowie walą z karabinów maszynowych w okna podziemnego kabaretu w Lizbonie. Szampanita śpiewa angielskiego szlagiera:

Speak gently to the herring
And kindly to the calf...

Na ekran pada przekład piosenki:

Gdy dziewczę cię pokocha,
Całuska chętnie da...

Potwór rzuca dowcip:
— Albo da, albo nie da! Co?
Drugi się z nim zgadza:
— Możliwe, że nie da, a możliwe, że da.

I śmieją się. Dosyć długo się śmieją, bełkocąc, sepleniąc, śliniąc, charcząc i kwicząc wszystko co widzą, czytają, myślą i czują.

A kiedy im zwrócić uwagę, żeby byli cicho, psyknąć lub skarcić surowo wzrokiem, obrażają się śmiertelnie i sypią zjadliwe uwagi:

— Jak pan taki nerwowy, to niech pan w domu siedzi.

— Patrzcie go! Żydowski hrabia!

— Wacek, daj spokój, co tam będziesz z byle kim gadał!

— Kiedy ja nie potrzebuję uwag słuchać! Inteligencja!

— Zapłaciłem za bilet tak samo jak pan!

— Niech pan swego nosa pilnuje!

— Też wychowanie!

Dużo potrafią powiedzieć. W tym momencie aparat zaciął się i ekran przez ćwierć sekundy jest ciemny. Chamy już walą nogami w podłogę i stukają laskami. Bo to już dla nich „granda". Już ich ktoś chce nabrać. Za jego „forsę" wszystko musi być

w porządku — i nawet najdrobniejszy, najkrótszy defekt genjalnej maszyny budzi w tej kanalji coś w rodzaju potwornego tryumfu.

Pp. właścicielom kin będę bardzo wdzięczny, jeżeli zechcą przedrukować ten feljeton w formie ulotki i bezpłatnie rozdawać w swych teatrach.

DZIEJE PEWNEGO AFORYZMU

Redakcja pewnej jednodniówki, wydanej na rzecz kształcącej się młodzieży, zwróciła się do mnie z prośbą o przysłanie jakiegoś utworu — wiersza, noweli lub aforyzmu. Cel — bardzo szlachetny, prośba — uprzejma, nie było więc powodów do odmowy. Najmniej kłopotliwem wydało mi się napisanie aforyzmu. Dla pewności zajrzałem do „25.000 wyrazów obcych", gdzie pomiędzy afonją a Afrodytą było napisane:

„Aforyzm — zasada wyrażona niewielu słowami; urywek, sentencja, maksyma".

Aby się całkowicie uspokoić co do istoty przedsięwziętej pracy, sprawdziłem jeszcze wyrazy: maksyma („zasada ogólna, którą ktoś kieruje się w postępowaniu") oraz sentencja („krótkie treściwe zdanie, zawierające piękną moralną myśl, głęboką prawdę życiową") i zabrałem się do napisania aforyzmu.

Przedewszystkiem, pomyślałem, moje krótkie treściwe zdanie, moja zasada wyrażona niewielu słowami, moja głęboka prawda życiowa i piękna moralna myśl, słowem mój aforyzm — powinien dotyczyć młodzieży, i to młodzieży uczącej się, dla niej bowiem wydaje się jednodniówkę. Napiszę tedy coś o potędze wiedzy, o znaczeniu i dobroczynnych skutkach nauki. I oto po chwili aforyzm był gotów:

— Wiedza i nauka są dla młodzieży bardzo ważne.

Ale nie brzmiało mi to dobrze! Zresztą, przyznaję, było dość banalne. Takie drewniane stwierdzenie

powszechnie znanego faktu wydało mi się zbyt prostackie. Trzeba to ubarwić, okrasić, poezji trochę podpuścić. Wykreśliłem poprzedni aforyzm i napisałem nowy:

— O, wiedzo! Tobie ucząca się młodzież zawdzięcza swą potęgę!

Ale znowu się zastanowiłem. Gdyby młodzież miała potęgę — to co innego. Aforyzm byłby słuszny. Ale wydawanie jednodniówek nie świadczy o mocy. Przekreśliłem więc i napisałem:

— Wiedza jest, jak słońce: prowadzi do promiennej przyszłości i potęgi jutra.

Brzmiało to pięknie, ale naogół było idjotyczne: czy słońce prowadzi do promiennej przyszłości? Słońce wogóle nie prowadzi, a jeżeli — to do zachodu, a ta „potęga jutra" wydała mi się zbyt napuszona. Tak rozmyślając stworzyłem kolejno aforyzmy następujące:

— Nauka to potęga. Za jej przewodem złączym się z narodem.

— Młodzież jest solą ziemi w oku, a wiedza wznosi ją (?!) do słońca.

— Mędrców szkiełko i oko rozświetla mroki niewiary i prowadzi do słońca.

— Nauka jest ziarnem, z którego wyrasta siew (?!) potęgi i wiary.

Ale wszystkie te treściwe i piękne uwagi moralne przekreślałem stopniowo. Nie byłem z nich zadowolony. Wreszcie postanowiłem dać spokój wiedzy i młodzieży i przerzucić się na dziedzinę natury ogólniejszej, społeczno - patrjotycznej.

Po pół godzinie wytężonego myślenia miałem do wyboru całe mnóstwo sentencyj:

— Czynów nam trzeba, gdyż słów nie przekujemy na miecze ani lemiesze.

— Wolność narodu jest jego największym skarbem, a skarb narodu — to wolność jego największa.

— Społeczeństwo jest jak morze: rozsadza brzegi i zalewa bezduszne pustynie przyszłości i czynu.

— Praca dla ojczyzny jest jak drzewo: dąży wzwyż i karmi łaknących wiarą w świetlaną promienność ducha.

— Napoleon (?!) powiedział: „Państwo — to ja". Niech każdy obywatel pamięta, że nosi w tornistrze buławę czynu i ducha (wzgl.: potęgi).

Przyznam się, że i to wszystko podarłem. Wiem już! Napiszę coś o kobiecie, o miłości! Coś lekkiego, w miarę frywolnego, dowcipnego. I zaczęło się:

— Kobieta jest jak róża; na to ma kolce, aby je owijać płatkami.

— Kobiety mają do mężczyzn pretensje, że ich nie rozumieją. Mon Dieu! (!) Czy kwiaty pytają rosy, czemu ją strząsa motylek?

— Miłość jest snem, rzekł poeta. Zgoda, odrzekł filozof, lecz na dnie tej czary (?!) toną złudne snów marzenia. Poeta zapłakał...

— Mówią, że nasza prababka Ewa była pierwszą kobietą. Może... Ale w takim razie skąd wzięła model do figowego liścia? (W pierwszej chwili byłem zachwycony szampańską lekkością tego aforyzmu. Potem już nie).

— Małżeństwo jest jak róża: im bardziej ją zrywać, tym czulej rozkwita.

— Mężczyźni i kobiety — to dwa bieguny jednej ziemi. Szczęście jest południkiem, małżeństwo globusem, kochanek równikiem, dziecko — zwrotnikiem, a rozwód — podróżą.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Powyższe wspomnienia o tworzeniu aforyzmu dla jednodniówki akademickiej piszę w jasnym, białym pokoju z okratowanem oknem. Jest mi tu dobrze i spokojnie. Doktór przychodzi dwa razy dziennie. Po czterech miesiącach zaczynam już rozumieć, co do mnie mówi. Zaprzyjaźniłem się na spacerze z kolegą, który siedzi tu już trzeci rok. Twierdzi on, że jest tureckim sułtanem, a nas wszystkich uważa za swój harem. Zapoznał mnie ze swym Wielkim Wezyrem. Jest to pewien inżynier z Poznania. Bardzo miły człowiek — szkoda tylko, że cały dzień pieje jak kogut i łazi na czworakach.

Jeść dają nieźle. Ze snem jest gorzej. Koledzy wyją po nocach, a dozorcy oblewają ich zimną wodą.

P. U. R. S.

Rozporządzenie

§ 1. W celu roztoczenia opieki i kontroli nad niewyzyskaną dotychczas dla celów ogólnopaństwowych dziedziną podświadomą życia psychicznego obywateli Rzeczypospolitej — ustanawia się Państwowy Urząd Rejestracji Snów.

§ 2. Wszyscy obywatele Rzeczypospolitej bez różnicy płci i wyznania, od piątego roku życia wzwyż, obowiązani są co rano meldować w komisarjacie treść i dokładny przebieg swoich snów. Meldunki przyjmować będzie i zapisywać przydzielony do każdego komisarjatu urzędnik PURS'u. Osoby wojskowe składają zeznania u dyżurnego oficera komendy garnizonu.

§ 3. Za sen uważa się to, co się śni, roi, wzgl. marzy w stanie nieprzytomności i bezwładu podczas dokonywania czynności, polegających na spaniu.

§ 4. Kto świadomie lub podświadomie wprowadziłby władzę w błąd, składając zeznania nieodpowiadające prawdzie, podlega grzywnie od 5 do 3.000 złotych, przyczem kwestję prawdziwości złożonego zeznania rozstrzyga PURS.

§ 5. Każdy obywatel Rzeczypospolitej zaopatrzony będzie w „Książeczkę snów", którą obowiązany jest nosić stale przy sobie i okazywać na każde

żądanie policji oraz agentów PURS'u. W książeczce snów notowane będą każdorazowe wyniki zeznań oraz opinja władzy o takowych.

§ 6. Komisja opinjująca, złożona z dwóch urzędników PURS'u, komisarza policji, lekarza i obserwatora, wyznaczać będzie co rok pierwszego stycznia nagrody lub kary za całokształt działalności sennej.

§ 7. Pierwszeństwo mają sny patrjotyczne, państwowotwórcze, batalistyczne oraz reprezentujące ideologję rządu Rzeczypospolitej. Przy składaniu zeznań o snach powyższego charakteru konieczne jest potwierdzenie dwóch wiarogodnych świadków.

§ 8. Sny antypaństwowe, wywrotowe, lubieżne. podburzające jedną część ciała przeciw drugiej, zagrażające ustrojowi państwa lub moralności publicznej oraz sny przekraczające zdolności wyobraźni komisji podlegają opodatkowaniu, przyczem komisja zastrzega sobie prawo do uzasadnionego podejrzenia, iż miały one miejsce, choćby zeznający twierdził, że śnił w myśl § 7.

§ 9. Zabrania się mówić przez sen.

§ 10. Wszystkie znajdujące się na terenie Rzeczypospolitej senniki egipskie (wzgl. chaldejskie lub arabskie) mają być w ciągu trzech dni złożone w wojewódzkich urzędach cenzury państwowej w celu ostemplowania.

§ 11. Zabrania się prywatnego opowiadania snów.

§ 12. Wszelkie zażalenia składać można w PURS'ie, w wydziale „Zmór i koszmarów".

§ 13. Rozporządzenie niniejsze wchodzi w życie z dniem dzisiejszym.

SŁOWICZEK

Jeden ze znakomitych naszych polonistów i historyków literatury przygotowuje obecnie krytyczne wydanie dzieł Mickiewicza z komentarzami. Aby dać czytelnikom pojęcie o potężnej pracy zasłużonego profesora, drukujemy poniżej objaśnienia jego do wyrazu „słowiczek"; jest to jeden tylko z 84 komentarzy do słynnego wiersza „Słowiczku mój, a leć, a piej". Całość obliczona na 165 tomów.

1) *Słowiczku*, wołacz l. poj. od rzeczown. słowiczek, zdr. od słowik, ptak z wróblowatych (passeriformes), figuruje w podrzędzie Acromyodi, należy do rodziny Turdidae (Erithacus rubecula, Erithacus philomele, Luscina luscinia), por. J. Domaniewskiego „Podręcznik zoologji", Warsz. 1923, s. 667—668. Słowik znany był już w starożytności, p. Aristot. IX. 26.2; por. u Horacego (Sat. II, 3, w. 245):

Luscinias soliti impenso prandere coemptas. („Patrz, jak drogie słowiki zmiatają z talerzy", przekł. Jana Czubka, Horatius Flaccus, Poezje, nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa — Kraków — Lublin — Łódź — Poznań — Zakopane 1924 s. 327); Plinjusz (X, 41, 51 i X. 29, 43) wspomina, że Slesichorus (liryk grecki, ur. w r. 632 przed Chr.) schwytał w dzieciństwie słowika i to było przepowiednią przyszłej sławy poetyckiej (por. Dr. Harald Athmar Lenz „Zoologie der alten Griechen u. Römer", Gotha 1856, s. 296 — 297). Por. też u Oppia-

na, de aucupio, I 17 i u Aeliana III 40, V 38, gdzie cytuje Charmisa z Massalji (Marsylja), ib. 298 w przypisie. Por. charakterystyczne dla epoki zdanie Micheleta: „Le rossignol, à mon sens, n'est pas le premier, mais le seul, dans le peuple ailé, à qui on doive ce nom". August Seidensticker („Waldgeschichte des Alterthums", Frankfurt a. O. 1886, Bd. I (vor Cäsar) 209) zamieszcza krótką i nieciekawą wzmiankę o słowiku; niemniej jednak warto zwrócić uwagę na jeden szczegół (por. Rozpr. Pr. Nat. Br. Wr. 1906, XXVIII, 118—131 i Pr. Nauk. Chr. Mr. Wr. 1873. XVI, 19), że wyżej wymieniona u Arystotelesa „aedon" (V, 9.5) „galt für eine verwandelte Tochter des Königs Pandion von Athen" (Mr. Kr. Fr. XXI. 99).

Pod względem etymologicznym trudno zgodzić się z Brücknerem (Słownik 501), jakoby cerkiewne sławij, ros. sołowiej, dowodziły pierwotnego sołw, oznaczającego kolor żółtawo-szary (niem. sal, prus. salwis), Mickiewicz nie znał pracy Zorjana Popłacińskiego o wpływach pomorskich na słowiańską nomenklaturę ptaków (por. Roczn. Pr. Fr. Kr. 1879, XII 23), upada więc mniemanie Pędrakiewicza, że poeta użył słowa „słowiczek" jako aluzji do odwiecznie polskiej połaci ziemi, jaką jest Pomorze, pragnąc w ten sposób zwrócić uwagę Zaleskiego, aby tam frunął z Ukrainy (por. Antoni Dufa „Ptaki w życiu Mickiewicza na emigracji a kwestja ukraińska", Lwów 1930, passim); por. też Chr. Mr. Pr. V 16 i Spr. Tr. Kr. X. 8012.

Z LISTÓW DO REDAKCJI „PORADNIKA RASOWEGO"

B. W. w miejscu: Babka moja ze strony ojca była frankistką, dziadek zaś aryjczykiem, ale pijał pejsachówkę. Dziadek natomiast ze strony matki był nieprawym synem wychrzty oraz aryjki, która pochodziła po kądzieli od żyda, po mieczu zaś od polaka. Czy mogę teraz ożenić się z córką pewnego księdza, którego babka ze strony dziadka była niemką, dziadek zaś ze strony matki synem żydówki, pochodzącej z mieszanego małżeństwa (żyd i izraelitka) — i mieć nadzieję, że będą dzieci? Wszystko mi jedno, jakie dzieci, byle moje.

St. C. w Jaśle. Mam czworo dzieci: para trojaczków i jeszcze jedno, starsze, także z bliźniąt. Otóż, co do tej pierwszej trójki (dwie dziewczynki) nie mam żadnych wątpliwości, gdyż dobrze pamiętam, że wszyscy ojcowie byli aryjczykami, natomiast powyższy bliźniak pochodzi, mam wrażenie, z mieszanej kombinacji, gdyż stało się to po wieczornicy miejscowego związku dentystów, na którą przybyli także cykliści z Tarnopola. Co robić?

R. Kr. w Kutnie. Ojciec mój, syn ormianina i greczynki, urodził się w Szwecji, ale całe życie mieszkał w Portugalji, gdzie ożenił się z córką żyda, którego matka była czeszką, ojciec zaś endekiem. Ja sam przyszedłem na świat w Kazaniu, (gdzie rodzice występowali w cyrku), ale mieszkam teraz w Kutnie

i ożeniłem się tam z przejezdną japonką, córką mandżura i jugosłowianki. Dlaczego synek mój nie może wymówić „się“ tylko „sze“?

Z. M. w Warszawie. W zeszłe środe wyszłam na Marszałkowskie i trafił mi się przyjezdny gość, który mnie zapreponował dozgonną miłość i stanęło na 10 złotych. A jak my poszli do hotelu „Capri“ na Widok, to portjer, w śledzionę szarpany, mnie przed gościem obgadał, że tera, mówi, to katolika dla pucu przyprowadziła, a tak to tylko samech żydków miewa, bo on ścierwo na mnie złość ma od czasu, jak mu precęt zniżyłam i takiem sposobem mnie przed polskiem gościem obsmarować pragnęł. A gość był w sztylpach i wogóle w zupełności pijany, tyle tylko, że bardzo się spieszył, żeby na pociąg zdążyć. Ale jak usłyszał, to mówi, że ja, mówi, nie będę, mówi, po żydowskich tych (i słowa takiego użył) swoją, mówi, rasę zanieczyszczać, gdyż, mówi, gruntowny jezdem narodowiec i prasowo uświadomiony. I poszedł do numeru z tą grubą Rojzą Szpint, co tylko katolicką klijentelę trzyma i żydamy się brzydzi. To się teraz pytam, kto mnie moje stracone 10 złotych odda?

K. Löwenherz w Pułtusku. Matka moja jest z domu Löwenbaum, babka — Löwenstein, prababka Löwenberg, a praprababka — Löwenfeld. Co robić dalej, żeby dziecku się to nie powtórzyło? Zaznaczam, że żona moja jest z domu Löwengold.

O ZNAJOMYCH

Znajomy jest to człowiek, któremu podało się kiedyś rękę, wymieniając przytem swoje nazwisko z ewentualnem oświadczeniem: „Bardzo mi przyjemnie". Poczynając od tej chwili znajomy zaczyna korzystać ze znajomości, kłania się nam na ulicy i jest zdania, że nas zna „osobiście". Przedtem znał tylko „z widzenia". Znajomi bywają tylko starzy i dobrzy. Nie słyszałem nigdy, aby kto powiedział: „Jest to mój młody, względnie zły znajomy". Natomiast o starym i dobrym słyszy się ciągle.

Do zawarcia znajomości wystarczy obrządek przedstawienia, który polega zwykle na łaskawem pośrednictwie osoby trzeciej. Odbywa się to w sposób następujący. Trzecia osoba jest naszym znajomym i ma znajomego, który jest naszym nieznajomym. Wtedy trzecia osoba przedstawia nam nieznajomego, mówiąc: „Pozwoli pan — pan Cybulak", (ewent. inne nazwisko) wtedy Cybulak mówi: „Cybulak" lub „Cybulak jestem", my także mówimy „Cybulak" lub „Cybulak jestem", jeżeli przypadkowo tak samo się nazywamy, obydwa Cybulaki ściskają sobie dłonie — i oto stają się znajomymi. Na całe życie. Pozatem nowy znajomy może nam przedstawić wszystkich swoich znajomych, ci wszyscy znajomi wszystkich swoich — i tak w nieskończoność, na zawsze. I to jest właśnie straszne.

Kiedyś, jako uczeń jeszcze, zmieniłem w budce z wodą sodową dwadzieścia kopiejek pewnemu spra-

gnionemu tego napoju, gdyż sklepikarz nie miał reszty. Wdzięczny za tę wspaniałomyślność moją bibosz przedstawił mi się. Było to w roku 1912. Od tego czasu ten człowiek kłania mi się na ulicy. Kłania mi się tak serdecznie! Wtedy, w budce z wodą sodową, był to spocony czerwony chłopiec. Dziś — jest siwiejącym, sapiącym grubym bykiem, ma astmę i chodzi z trojgiem dzieci na lody do Ziemiańskiej. I tam mi się kłania. Ale jest taktowny i, chociaż promienieje, kiedy mnie widzi, wie, że nic nas nie łączy, nie podchodzi do mnie, nie zaczyna rozmowy. Ten rodzaj znajomych do grobowej deski jest najprymitywniejszy i stosunkowo najmniej szkodliwy.

A są gorsi. Są czarni znajomi. Potwory. Podchodzą i zaczynają rozmowę.

— Kopę lat! Co słychać?

Odpowiadam zwykle:

— Ano nic, tak... pomaleńku.

— Gorąco dziś.

— Tak.

— Ale będzie deszcz.

— Tak, zanosi się.

— Można?

I siada. Siada, bo jest znajomy. Jest znajomy, bo Cybulak szedł z nim kiedyś po ulicy, zatrzymał mnie, jako mój znajomy, pytając się, co u mnie słychać i przedstawił mi go.

— Cybulaka pan nie widuje?

Cybulak jest łącznikiem. Rozmówca mój jest przekonany, że osoba Cybulaka jest dla mnie czemś ży-

wem, bliskiem. Cybulak — to wszystko, co ten człowiek wie o mnie i o mojem życiu. Cybulak, nasz wspólny znajomy, ten, który nas zaznajomił, jest może dlań tak samo obcy jak dla mnie, ale od Cybulaka trzeba zacząć rozmowę. To czynnik mistyczny niejako. Deska ratunku. Z tej deski zrobione jest krzesło, na którem usiadł przy moim stoliku. Rozmowa toczy się wartko.

— A co u pana?

— Nic, tak, owszem.

— Pisze pan?

— Piszę...

— Czytałem niedawno, że pan coś w książce wydał.

— Tak.

— Gdzie to można kupić?

— W księgarni.

— Będę musiał kupić.

— Dobrze.

Wiem, że nie kupi, że go to nic nie obchodzi i obchodzić nie powinno, ani nie może. Pije kawę, patrzy mętnie przed siebie, pali moje papierosy, krytykuje zarządzenia władz, mówi, że są ciężkie czasy, narzeka, że „w jego branży nic", pyta się co sądzę o Piłsudskim („owszem, tak"...), wyraża przekonanie o dobroczynnych skutkach, jakie pociągnie za sobą handel z Rosją, wygłasza trafne zdanie, że z literatury pewno trudno wyżyć, wreszcie prosi o kartkę do teatru. Daję mu ją skwapliwie, zaznaczając, aby się pospieszył.

— Jakto? Przecież dopiero czwarta...

— Tak, wie pan, ale zanim pan dojdzie...

Poszedł.

To był znajomy „bez interesu". Są bowiem znajomi „mający interes". Ten rodzaj jest niemniej groźny.

— Dobrze, że pana spotykam! Proszę pana, powstaje teatr, coś w rodzaju „Niebieskiego ptaka"... Są pieniądze, lokal, koncesja, zespół, wszystko. Chodzi o repertuar...

Albo:

— Powstaje pismo... Wie pan, któreby zgrupowało i t. d.

Albo:

— Proszę pana, dobrze, że pana spotykam. Mam coś dla pana. Moja kuzynka ma zacięcie literackie, zna języki, może tłumaczyć, bardzo zdolna dziewczyna. Możeby się coś dla niej znalazło...

Odpalam z miejsca, że nie.

— Ale może jednak! W każdym razie może mi pan poda swój numer telefonu, ja panu zostawię swój i w razie gdyby pan coś wiedział...

Zaczyna się szukanie ołówka, papieru i t. p. męczarnie.

Teatru ani pisma nigdy nie będzie. Znajomy wie o tem. Ale mimo to — nudzi. Kuzynka z językami powinna wyjść zamąż. Znajomy wie o tem. Ale zawraca głowę.

Dlaczego? Potężnym głosem zapytuję: dlaczego?!

O KELNERACH

Aforyzm Janusza Korczaka — „kelner jest także człowiekiem“ — był w czasach przedwojennych niejako manifestem demokratyzmu. Było to bowiem w owych zamierzchłych czasach, kiedy zgodnie z pieśnią „panowie cygara palili“, pili w gabinetach szampana z „podkasaną muzą“, nosili „lakiery“, rozbijali się dryndami na gumach i nosili srebrne brzęczące ruble w kieszonce od kamizelki. Byłem wtedy dzieckiem (ale nie salonu) i w wyobraźni mojej zjedzenie sznycla w restauracji urastało do rozmiarów bachanalji, „garson“ zaś wyglądał niczem etyopski niewolnik podczas orgji starorzymskiej. Przyznaję się — kelner nie był dla mnie wtedy człowiekiem. Był bóstwem we fraku. Coś sadystycznego było w marzeniu o usługującym mi dorosłym człowieku.

Od tego czasu dużo się zmieniło. Gdy się od 20 lat trzy-cztery razy dziennie ma do czynienia z kelnerami, znika aureola pp. „oberów“ i „podawczych“. Życie zaś sprawiło, że rewelacją stał się aforyzm: „Gość“ jest także „człowiekiem“. Lubię was, pp. kelnerzy, cenię i szanuję ciężką waszą pracę, ale dużo jest jeszcze rzeczy dziwnych w waszem façon d'être, jak w każdym zresztą zawodzie. Obserwuję was tak dawno, tak często i z tak gorącą sympatją, że uwagi moje na temat wzajemnych stosunków pomiędzy gościem a kelnerem napewno żadnego z was nie urażą.

Trzeba przedewszystkiem umieć odróżnić dwa światy: kelnera z cukierni od kelnera z restauracji. Ten pierwszy operuje mniej skomplikowaną skalą możliwości zarobkowych — i dlatego jest szczerszy, łagodniejszy, wyrozumialszy. Od czystej wody sodowej poprzez herbatę, pół czarnej, białą, mazagran i czekoladę myśl jego biegnie do kawy mrożonej. Napoje te i kremy poprzetykane są w marzeniach kelnera cukierniczego pewną ilością ciastek, które gość skonsumuje, ale summa summarum jaki najpotworniejszy nawet żarłok wyda w cukierni na jednem posiedzeniu więcej niż 10 złotych? (Oczywiście, że to już gość patologiczny, ciastkofag i czekoladochlacz). A ilu jest takich, co stolik na cement zamuruje, trzy godziny przy pół czarnej posiedzi, a potem poprosi o resztę ze 100 złotych? Ilu takich, co to mówi „ja tam siedzę" albo „tymczasem nic"? Ilu takich, jak nieporównany mecenas Stanisław M., zanudzający pp. kelnerów stukaniem w talerzyk? A mało gości wieje poprostu? Skorzysta z nieobecności kelnera albo w dzikim porywie wyskoczy z knajpy, bo niby to spostrzegł kogoś na ulicy? Znamy dobrze wszystkie te typki, drodzy pp. kelnerzy! Ale bodaj najgorszym jest gość niezdecydowany. Siada i puka pierścionkiem w marmur stolika. Kelner starodawnym zwyczajem odpowiada: „Kolega!" — czyli, że to nie jego rewir. Kolega zjawia się po kwadransie. Gość mówi: „Proszę dla mnie czekoladę.... albo nie: pół czarnej, albo wie pan co? Daj pan białą!". Po kwadransie kelner przynosi herbatę, gość twierdzi, że prosił o mazagran, więc kel-

500
450

ner znika z herbatą i po 15 minutach wraca z żądaną wodą sodową. Czy można mu się dziwić? Obowiązkiem gościa jest zdecydowany, nieugięty stosunek do zamiarów swego apetytu. Gość powinien najpierw pomyśleć a potem mówić, wyraźnie i bez wahania: „Proszę o całą czarną i podwójny cukier". Otrzymaną lemoniadę powinien wypić i nie mieć pretensji. Bardzo ważna jest w cukierni kwestja t. zw. drobnych. Gdy za pół czarnej masz zapłacić 45 groszy, dajesz zaś kelnerowi 50 gr., prosi cię on zazwyczaj o drobne. Pojęcie o drobnych jest u pp. kelnerów cukiernianych tak elastyczne i nieokreślone, że załatwienie tej sprawy powinno stać się jednym z pierwszych punktów „fachowej komisji resztowej" przyszłego ogólnopolskiego zjazdu kelnerów.

Stokroć bardziej zawikłany i niepokojący jest stosunek kelnera do gościa w restauracji, zwłaszcza modnej, tudzież w soboty i niedziele. Aktem rozpaczy byłoby szukanie w takiej knajpie miejsca późnym wieczorem. Należy przyjść bardzo wcześnie. Przedwstępne rokowania z kelnerem mają zwykle przebieg następujący: — „Proszę pana, chciałbym stolik". Prosisz o to dlatego, że na wszystkich stolikach stoją już karty: „Zamówiony". Wtedy kelner zapytuje: „A ile osób?". Rzecz w tem, że niema takiej ilości osób, którąby kelner uważał za dostateczną do zajęcia stolika. Jeżeli odpowiesz: „Siedemdziesiąt", możesz śmiało liczyć na otrzymanie stolika, przy którym cztery osoby mogą całkiem wygodnie siedzieć. Siadasz wtedy ze swem towarzystwem i oto zaczynają się tortury. Biada ci, jeżeli po prze-

studjowaniu karty powiesz: „Proszę dla mnie rumsztyk“. Biada, powiadam, albowiem prysnęły marzenia kelnera! Gość powinien zacząć od wódki (koniak! śliwowica! starka!) i zakąsek.

Gość, który nie zamawia wódki i zakąsek staje się w oczach kelnera niską i litości godną postacią. Zakąski — to nie śledzik i jajeczko, bracie, to nie szprotka i kawałek szynki, ale olbrzymie srebrne tace, na których leżą homary, majonezy, łososie i inne bardzo drogie rzeczy. Pogardzenie temi specjałami wywołuje zwykle u kelnera pewien odruch, który się wyraża w sprzątnięciu ze stołu kieliszków i małych talerzyków do hors d'oeuvre'ów. O, gościu nieszczęsny! Jakim policzkiem jest dla ciebie to zabieranie przez pikolaków przygotowanych do lukullusowej uczty naczyń!

Nie gniewajcie się, pp. kelnerzy! Tak przecież jest. I przyznaję się, że znoszę często takie męki, patrząc na wyczekującą twarz kelnera, że wybieram z karty „coś droższego“, byle nie drżeć pod spojrzeniem, pełnem nadziei na zamówienie „łososia Sardanapal sos Bombroise“, „fricassé Rotschild avec z pantorolkami trufflé et soufflé“,„kuropatwy zawijanej w pasztet z młodych indyczek sos Bonaparte“ i „kremu Assurbanipal z brzoskwiniami w mleczku bananowem“. A tu się serce pali do dużej czystej i bigosu! A tu człowiekowi dech zapiera na myśl o parówkach z musztardą! O gorącej kiełbasie z piekłem śnieżnego chrzanu!

O WIZYTACH

Walcząc wytrwale i nieustępliwie z różnorakiemi zmorami życia codziennego, czyli poprostu życia, (bo gdzież jest poza codziennością to inne, przez duże Ż pisane?), chciałbym omówić groźny obyczaj składania wizyt oraz peryferje tego demonicznego zjawiska. Jeżeli istnieją kary policyjne za zakłócenie spokoju publicznego, to stokroć surowsze grzywny, i to pieniężne, należy nakładać na osobników, zakłócających spokój prywatny, albowiem my house is my castle — a lekkomyślne nawiedzanie mej warowni przez t. zw. „znajomych" (patrz traktat o znajomych) jest wołającem o pomstę do Boga pogwałceniem najelementarniejszych praw człowieka do ciszy i spokoju.

Oczywiście, każdy z nas posiada śród znajomych ludzi miłych, bliskich, rozumnych, z którymi chętnie pogada godzinkę, nawet pół godziny, nietylko pogada, ale i pomilczy z nim, siedząc przy stole; każe bodaj wytoczyć kilka szklanic herbaty, poda nieodzowne ptifury lub jabłka (tępe nożyki owocowe!). Powtarzam: owszem. Taki gość w dom — to radość, bez przesady. I szczęście — z przesadą.

Ale są wizyty piekielne, wizyty koszmarne — przymusowe, jak ciężkie roboty. O tych właśnie chciałbym obszerniej pomówić, a pomówiwszy — przekląć. Mianowicie: nagłe, niespodziewane wizyty krewnych, powinowatych i z bożego dopustu znajomych oraz tychże osób odwiedziny dawno zapo-

wiedziane. Przypatrzmy się z bliska tej ohydzie w obydwu nikczemnych odmianach.

— Proszę pana, jakiś pan.

— Niema mnie w domu.

— Kiedy już powiedziałam, że pan jest.

Dziewczę z województwa lubelskiego, spełniające w moim domu funkcje pomocnicze w t. zw. prowadzeniu gospodarstwa, zostaje obrzucone przez swego chlebodawcę spojrzeniem, zapowiadającem, iż chlebodawczość może ustać.

I oto gość wiesza już palto w korytarzu, wyciera nos, poprawia przed lustrem włosy, zapina się gdzie należy, aż wreszcie z świąteczną i wesołą miną wchodzi do pokoju. Zamiast powiedzieć mu surowo i stanowczo, z miejsca i bez pardonu: „Won!“ — a gdyby się upierał, wziąć za kark i wyrzucić na schody, z jakimś bydlęcym uśmiechem udaję, że przybycie faceta jest dla mnie jedną z najmilszych niespodzianek:

— Dzień dobry! Jak się pan miewa? Proszę!... Niech pan siada. No i zaczyna się. „Rozmowa“ się zaczyna. Zbrodniarz wygłasza najpierw kilka zdań wstępnych:

— Dawno się już do pana wybierałem, ale, wie pan, jestem tak zajęty, że trudno było. Teraz właśnie przechodziłem, więc wpadłem na chwilę. Nie przeszkadzam?

Jedyną szczerą oraz istotną odpowiedzią byłoby: „Tak jest. Pan mi przeszkadza. Nawet bardzo. Do widzenia“. Poczem, lekko popychając gościa, należałoby zaprowadzić go do korytarza, dać mu do rę-

ki palto, kapelusz, laskę, kalosze oraz inne rzeczy, które przyniósł ze sobą, i usunąć go do sieni. Niech się tam ubierze. Ale wrodzona łagodność i uprzejmość nie pozwala mi na stosowanie tych nieprzyjętych, aczkolwiek całkiem naturalnych metod postępowania.

Odpowiadam więc:

— Ależ nie! Bardzo proszę...

— Może przerwałem pracę? (A widzi bestja, że na biurku leżą otwarte książki, rozłożone papiery i że stalówka mokra!).

— Nie... Tak... Wogóle... Proszę, niech pan spocznie. (Siedzi już od paru minut, ale co ja mu innego powiem?).

— I cóż pan porabia? — zapytuje miły gość.

— Tak, pracuje się...

— Jak tylko jest robota, to dobrze. Nie wyjeżdża pan?

Po tem pytaniu — genjalna myśl błysła mi w głowie: Odpowiedzieć, że wyjeżdżam! Wyjeżdżam za pół godziny! Ale kto wie, czy groźny ten człowiek nie zechce mnie odprowadzić na dworzec? Mówię tedy:

— Wybieram się... Chciałbym pojechać, ale pieniędzy nie mam.

— Tak, te pieniądze, rzeczywiście... Powszechna bolączka. Chociaż, wie pan, jeżeli się zagranicą praktycznie urządzić, to wcale nie drożej kosztuje, niż u nas. Teraz jeden znajomy pojechał do Francji, to pisze, że...

I zaczyna opowiadać. Z sufitu zwisają już ciężkie stalaktyty stężałej nudy. Patrzę ponuro na rozpra-

wiającego ochoczo gościa i marzę, że kiedy skończy relację o życiu zagranicą („inny świat, inni ludzie, tempo życia, kultura, dla pana jako poety"...), to wstanie i pójdzie. Ale człowiek ten jest Wezuwjuszem rozmowności. Literatura, sztuka, polityka, nauka — słowem, najdziksze tematy. Wreszcie pyta, która godzina. Odpowiadam, że wpół do ósmej (przyszedł o piątej). „A, mówi, to trzeba uciekać. Miałem gdzieś być o siódmej". I siedzi jeszcze pół godziny. Potem żegna się. Bardzo długo. W korytarzu, kiedy jest już w palcie, rozmawia jeszcze. Klamkę od drzwi trzyma w ręku przez kilka minut. Na odchodnem mówię mu: „Niech pan kiedy wpadnie" (myśląc sobie: pod samochód). Wtedy gość prosi, żebym ja go odwiedził, rozpina palto, odwiązuje szalik, rozpina marynarkę, wyjmuje z kieszeni portfel, z portfelu bilet wizytowy i daje mi swój adres. Ale na wizytówce niema numeru telefonu. Więc gość wraca do mego gabinetu, aby mi zapisać ten numer. A kiedy zapisuje — spostrzega na biurku jakąś książkę... I oto, stojąc w palcie, zaczyna nanowo rozmowę — rozmowę o tej książce... Policja-a-a!!!

. . . . . .

Niemniej obmierzłem zjawiskiem jest t. zw. „przyjęcie na kilka osób". Tego typu wizyta nie spada wprawdzie jak grom, gdyż już na kilka dni przedtem wiadomo, że „będą goście", ale jest niemniej potworna. Mówiąc ściśle: gorsza od poprzedniej przez posępną świadomość, że goście przyjdą, lepsza zaś o tyle — że obecność kilku osób zwalnia gospodarza

od obowiązku intensywnego „prowadzenia rozmowy“ i „bawienia“ gości. Sprytny gospodarz może nawet zostawić gości samych, sam zaś — siąść w odległym pokoju przy oknie i patrzeć sobie na podwórze. Ale wiem z doświadczenia, że pani domu sprzeciwia się zazwyczaj takiemu postępowaniu. W licznem gronie rozmowa toczy się bardzo wartko. Mówi się o mieszkaniu, o tem, że się daleko mieszka (to nie przyłaźcie, jeżeli wam daleko!!), że jest ślisko, że w tym roku było w Zakopanem przepełnienie, że w każdym domu grypa, że w „Perskiem Kwiproku“ świetny program, że Słonimski „już trochę zanadto“, że w Paryżu inne życie, ale ten frank teraz..., że Sylwester był, albo będzie lepszy, albo gorszy, niż w zeszłym roku, że od kilku lat klimat się zmienił, że „Cyrulik“ bardzo dobry, że Litwa, że strajk górników w Anglji, że Piłsudski, że charleston, że Dekobra, że Kaden, że drogo, że Bodo, że radio, że kikarabasa rabamfuka dypa homba punta breks!...

Jedni żłopią herbatę, inni kawę, ci jedzą ciastka, tamci obierają mistrzowsko pomarańcze i jabłka (są tacy artyści od obierania owoców), stół zaśmiecony, pokój zaśmiecony, gospodyni namawia do jedzenia, gramofon gra, zaczynają tańczyć.

— Valencia-a-a-a-a-a-a!

— Policja-a-a-a-a-a!!!!

KALAMBURZYŚCI, CZYLI MĘKI TWORZENIA DOWCIPÓW

Kalamburzysta jest to człowiek, który zniekształca i przekręca słowa w celu zrobienia dowcipu. Któż się nie uśmiechnie wzgl. nie wybuchnie głośnym śmiechem, słysząc w restauracji zdanie: „Proszę dla mnie zrazy kalesońskie?". Przymiotnik „nelsońskie" (à la Nelson) to proza, stan faktyczny; „kalesońskie" — to już inny świat, to humor, satyra i dowcip. A wszystko przez skromną grę słów. Sam słyszałem gościa, który, dusząc się od śmiechu, zamawiał w knajpie zająca z kalamburaczkami. Siwobrody, sędziwy żart o „antykwarjacie" (antyk-warjat) jest klasycznym przykładem kalamburu integralnego (calembourg integral), t. j. bez zmasakrowania słowa. Do tej kategorji należy też etymologja słowa żebrak, który dlatego tak się nazywa że brak mu (scil. forsy), serwetka (że się tam niby ser wtyka; futurum od wetknąć; on wetka ser czyli on serwetka) i t. d.

Szaleństwo zaczyna się dopiero przy deformowaniu słów, przestawianiu liter i sylab, tłamszeniu zgłosek i dźwięków oraz stosowaniu całego szeregu innych aktów okrucieństwa dla wyciągnięcia za włosy choć cienia nędznego dowcipu. Kalamburzysta czai się wtedy jak jaguar, nastroszony i czujny podpełza cichaczem do swej ofiary, do żywych, prostych, normalnych słów mowy ludzkiej, nagłym skokiem rzu-

ca się na nie, rozszarpuje na strzępy, z okrwawionych ochłapów skleca na poczekaniu potwora i każe nam się śmiać. A my często nie możemy. Bo taki „kompraczikos“ (patrz powieść Hugo „Człowiek, który się śmieje“), maltretuje wyrazy zazwyczaj bez zastanowienia. Chamberlaina nazwie „Czemberlenin“ i mruga okiem. Mruganie oznacza mętną i niezgodną z rzeczywistością aluzją na temat politycznych sympatji Anglji dla Sowietów. Z Czemberlenina zjeżdża na „Czemberlina“: bo on, panie, niemiaszków do ligi wpuścił, więc Berlin, uważasz pan. Według naszego dowcipnisia marszałek Foch ma dobry fach i szwabskich fochów się nie boi. Jeżeli takiemu kalamburzyście na imię Adolf, to hula już na całego. Z polskiego marszałka uczyni marszelika, z brygadjera — brygandjera, z komendanta — komedjanta, z Romana Dmowskiego — narodmowskiego Romanowa, a świerzbić go będzie aby na madejowe łoże gry słów położyć nawet innych, najbliższych sobie — wszystko dla kalamburu. „Gdybym tak mógł, jak nie mogę, myśli sobie płochy żartowniś, cobym ja w tej endecji za spustoszenia porobił!“. I marzy: Zdziechowski — Bździechowski, Dubanowicz — bez zmiany, endeki — mendeki, wojewoda Bniński — dudniwoda Liński, generał Raszewski — Degeneraszewski, Muśnicki — Chamuśnicki, Kiernik — piernik, Dwugroszówka — Dwugroszuja i t. p. humorystyczne satyry. Ale trudno — nie wolno.

Osobna wzmianka należy się pewnemu objawowi straszliwego zdziczenia mózgu u kalamburzysty. Są

to jego chore marzenia, aby bieg życia i zjawisk ułożył się w sposób odpowiadający jego kalamburom. Kiedy przyjdzie mu na myśl dobra gra słów, modli się gorąco o jej ucieleśnienie w życiu. „Spraw, o wielki Boże, błaga kalamburzysta aby Korfanty buchnął Brylowi klejnoty, uciekł z niemi na wyspę Korfu i niechaj go Bryl potem złapie“.... — Obłąkańcze! czemu ty o takie koszmarne rzeczy Boga prosisz? Ja wiem dlaczego! Bo wtedy będzie miał rację bytu pyszny kalambur: „Brylanty na Korfu i Korfanty na Brylu“. Śni się trawionemu gorączką słowograjowi, że mistrz Fałat został dyrektorem Polskiej Agencji Telegraficznej.... Ach, gdyby się to sprawdziło! Jak świetnie brzmiałby wtedy kalambur: „Wart Pat Fałata, a Fałat Pata“. Taki okrutnik odżałować nie może, że inżynier Gwiazdowski nie został stratowany podczas filmowania szarży ułanów. Bo gdyby (o, radości!) przedsiębiorstwo filmowe, które tworzy obraz powyższy, nazywało się „Polskie Towarzystwo Akcyjne Kinematograficzne“ (P. T. A. K.) i gdyby inż. Gniazdowski był przez nie zaangażowany i gdyby potem został ranny — kalamburzysta ryknąłby: „Zły to P. T. A. K. co własnego Gniazdowskiego kala“. Kalamburzysta bogacz nie zawahałby się napewno przed sfinansowaniem całej takiej imprezy. Do drobnych marzeń kalamburzystów należy ukryte pragnienie, aby marszałek Piłsudski był alkoholikiem. Pisaliby wtedy: „Jaki on tam Piłsudski? On pił wódki.“ Toby dopiero było zrywanie boków!

..... A o północy, w tajemnicy przed sobą samym, roi się kalamburzyście piekielny pomysł samobójstwa: „Wezmę trumnę, porąbię, sproszkuję i zjem; umrę od tego i położą mnie do innej trumny. Wtedy będzie wesoły kalambur: Ha ha! trumna jest w nim i on jest w trumnie".

Mam wrażenie, że przesadziłem. Przecież to wcale nie jest kalambur. Zwykłe, normalne zdanie.

WYWIAD

Już na wizytówce, którą podała mi służąca, było „Bohdan Ryszard Łupko, literat". Następnie wszedł sam literat Bohdan Ryszard Łupko, oświadczył, że jest Bohdanem Ryszardem Łupko, literatem, i usiadł.

Rozejrzał się po ścianach, po biurku, po półkach bibljoteki, wreszcie głosem drżącym i radośnie wzruszonym powiedział:

— Więc to tutaj jest ta świątynia dumania, w której mistrz tworzy?

Dodatnie wrażenie, jakie na mnie zrobił Bohdan Ryszard, prysło odrazu. „Mistrzujących" nienawidzę. Ale gdy spojrzałem w te błękitne, błyszczące oczy, pełne podziwu i uwielbienia dla mojej osoby (w tych oczach była cała dedykacja — długa, serdeczna, przesadna, głęboką czcią i oddaniem zakończona), gdy popatrzyłem na bezradne ręce Łupki, ręce, które byłyby teraz najszczęśliwsze, gdyby trzymały bukiet róż (oczywiście dla mnie) — poczułem ciepłą sympatję dla Bohdana Ryszarda i z wielką życzliwością odrzekłem:

— Tu.

Oblicze Łupki tak rozpromieniało, jakgdyby odpowiedź moja była sensacją, rewelacją, czemś najmniej na świecie spodziewanem. Wilgotnym, zachwyconym wzrokiem zaczął polerować meble. Łupko stał się wiosennem słońcem, od którego surowe półki, stół, krzesła (i ja sam) zalśniły, jakby oliwą pociągnięte.

Milczeliśmy tak przez kilka chwil, obydwaj szczęśliwi, z uśmiechem zażenowania na ustach.

— Przyszedłem prosić mistrza o wywiad. Jestem redaktorem kwartalnika literackiego słuchaczy Wyższych Kursów Jedwabniczych („Wukaje", dodał z satyrycznym uśmiechem). Pismo nasze nazywa się: „Hen, dążmy w świt" i...

Tytuł pisma tak mnie ze względów fonetycznych zafrapował, że przerwałem Łupce i poprosiłem, aby mi na kartce napisał. Dopiero wtedy uspokoiłem się i zapytałem o program pisma, jego treść, cele i t. p. nic mnie nie obchodzące sprawy.

Literat Bohdan Ryszard odchrząknął, przysunął nieco krzesło i z zapałem zaczął opowiadać.

— Celem naszym, mistrzu, jest piękno i duch. Wierzymy w świetlaną przyszłość, w zwycięstwo dobra i słońca. Naszemi ideałami są: prawda, wiara, sztuka i moc. Precz ze słabością! Precz z marazmem! My dążymy ku nowej jutrzence! Ludzkość musi się odrodzić, skąpana w krynicy ducha i prawdy! Szara powszedniość musi zniknąć z oblicza ziemi — my zastąpimy ją królestwem piękna i ducha!

Na szlachetną twarz różowego z natury Łupki wystąpiły gorące pomidorowe wypieki: lewą ręką gwałtownie manewrował pomiędzy sercem a sufitem.

Program kwartalnika bardzo mi się spodobał. Królestwo piękna i ducha jest przecież i mojem ukrytem marzeniem. Zapytałem więc Łupki, jak „Wukaje" zrealizują swe zamierzenia.

Okazało się, że w bardzo prosty sposób. Co kwartał będzie wychodzić zeszyt pisma „Hen, dążmy

w świt!", w którym zaszczepiać się będzie w ludzkość wiarę w piękno, ducha oraz świetlaną przyszłość. Za pomocą ideałów, prawdy, sztuki i mocy usunięte zostaną z życia słabość i marazm, poczem wszyscy zaczną dążyć ku jutrzence — i narody automatycznie odrodzą się w krynicy ducha i prawdy. Wtedy zniknie szara powszedniość, a następnie uformuje się już królestwo piękna i ducha.

Nie będę ukrywał, że się do tej sprawy zapaliłem. Bo co tu dużo gadać? Człowiek się długie lata męczy, trudzi, szuka nowych dróg, pochłania setki książek, a coraz bardziej brnie w wątpliwości i rozterki. Tymczasem taki Bohdan Ryszard z piorunującą szybkością opanował całokształt zagadnień i zagadek, postawił sobie cudowny cel, znalazł proste środki do osiągnięcia — i orlim lotem pędzi ku zwycięstwu.

— Więc czem mogę być panom pomocny? — zapytałem.

— Prosimy, mistrzu o wywiad! Pragniemy, aby z łamów naszego kwartalnika odezwały się mocne, męskie słowa...

— Proszę, niech pan zadaje pytania.

Łupko wyciągnął z kieszeni blok i ołówek.

— Co mistrz sądzi o pięknie?

Odpowiedziałem bez namysłu:

— Wierzę w świetlaną przyszłość piękna.

— Cudownie! cudownie! — szeptał Łupko, zapisując rewelacyjną moją odpowiedź.

— A o duchu co mistrz sądzi?

— Duch to potęga. Prawda ducha i wiary powin-

na przyświecać ludzkości, a droga ku niej prowadzi przez złote wierzeje sztuki.

Łupko tracił z zachwytu przytomność.

— Tak jest! tak jest! — mówił gorącym, fanatycznym szeptem, notując moje słowa.

— A jakie, mistrzu, powinny być ideały ludzkości?

— Ideałami ludzkości powinna być moc i wiara w świetlaną jutrzenkę świtu! Narody muszą się odrodzić w krynicy ducha i prawdy, przyczem hasłem ich musi stać się wiara, że marazm i słabość znikną z oblicza ziemi, skąpane w brzasku królestwa i ducha.

Łupko płakał. Z żarliwych, płonących oczu spływały łzy na pomidorowe wypieki, a następnie kapały na blok, upstrzony nerwowemi literami.

— Czy to nie cudowne i święte, zawołał, że mistrz taksamo to rozumie i czuje, jak my! Przecież nie umawialiśmy się! A z ust mistrza usłyszałem potwierdzenie naszych ideałów! Tak jest! My też wierzymy w świetlane zwycięstwo ducha! Naszemi ideałami także są: moc, sztuka i prawda! Dążymy wraz z mistrzem ku nowej jutrzence!

— Razem, młodzi przyjaciele! krzyknąłem, niech żyje duch!

— Niech żyje!!! zawył Łupko — już w transie, już w ekstazie, już mój na wieki.

— A teraz na wódę, na dziwki, na ochlaj, na ryms! ryczałem jak opętany, wznosząc entuzjastycznie rękę do góry.

— Tak! tak! wołał Łupko w idealistycznem zamroczeniu, razem! na wódę! na dziwki! na ryms! na ochlaj! ku nowej jutrzence, ku nowym świtom!

— — — — — — — — — —

Wracaliśmy z Bodziem w świetlanym blasku nowej jutrzenki. Była siódma rano. Bodzio wlókł się zryty i mętny.

Wreszcie wybełkotał:

— Te! Julek!... a może na dworcu dadzą?

Jak wiadomo, bufety kolejowe czynne są przez całą dobę bez przerwy, a od niedawna zaprowadzono w nich wyszynk alkoholu.

ŚLUSARZ

W łazience coś się zatkało, rura chrapała przeraźliwie, aż do przeciągłego wycia, woda zaś kapała ciurkiem. Po wypróbowaniu kilku domowych środków zaradczych (dłubanie w rurze szczoteczką do zębów, dmuchanie w otwór, ustna perswazja etc.) — sprowadziłem ślusarza.

*

Ślusarz był chudy, wysoki, z siwą szczeciną na twarzy, w okularach na ostrym nosie. Patrzył zpodełba wielkiemi niebieskiemi oczyma, jakimś załzawionym wzrokiem. Wszedł do łazienki, pokręcił krany na wszystkie strony, stuknął młotkiem w rurę i powiedział:

— Ferszlus trzeba roztrajbować.

Szybka ta djagnoza zaimponowała mi wprawdzie, nie mrugnąłem jednak i zapytałem:

— A dlaczego?

Ślusarz był zaskoczony moją ciekawością, ale po pierwszym odruchu zdziwienia, które wyraziło się w spojrzeniu z ponad okularów, chrząknął i rzekł:

— Bo droselklapa tandetnie blindowana i ryksztosuje.

— Aha, powiedziałem, rozumiem! Więc gdyby droselklapa była w swoim czasie solidnie zablindowana, nie rykstzosowałaby teraz i roztrajbowanie ferszlusu byłoby zbyteczne?

— Ano chyba. A teraz pufer trzeba lochować, czyli dać mu szprajc, żeby śtender udychtować.

Trzy razy stuknąłem młotkiem w kran, pokiwałem głową i stwierdziłem:

— Nawet słychać.

Ślusarz spojrzał dość zdumiony:

— Co słychać?

— Słychać, że śtender nie udychtowany. Ale przekonany jestem, że gdy pan mu da odpowiedni szprajc przez lochowanie pufra, to droselklapa zostanie zablindowana, nie będzie już więcej ryksztosować i, co zatem idzie, ferszlus będzie roztrajbowany.

I zmierzyłem ślusarza zimnem, bezczelnem spojrzeniem.

Moja fachowa wymowa oraz nonszalancja, z jaką sypałem zasłyszanemi po raz pierwszy w życiu terminami, zbiła z tropu ascetycznego ślusarza. Poczuł, że musi mi czemś zaimponować.

— Ale teraz nie zrobię, bo holajzy nie zabrałem. A kosztować będzie reparacja — wyczekał chwilę, by zmiażdżyć mnie efektem ceny — kosztować będzie... 7 złotych i 85 groszy.

— To nie dużo, odrzekłem spokojnie. Myślałem, że conajmniej dwa razy tyle. Co zaś dotyczy holajzy to doprawdy nie widzę potrzeby, aby pan miał fatygować się po nią do domu. Spróbujemy bez holajzy.

Ślusarz był blady i nienawidził mnie. Uśmiechnął się drwiąco i powiedział:

— Bez holajzy? Jak ja mam bez holajzy lochbajtel krypować? Żeby trychter był na szoner robiony, to tak. Ale on jest krajcowany i we flanszy culajtungu niema, to na sam abszperwentyl nie zrobię.

— No wie pan, zawołałem, rozkładając ręce, czegoś podobnego nie spodziewałem się po panu! Więc

ten trychter według pana nie jest robiony na szoner? Ha, ha, ha! Pusty śmiech mnie bierze! Gdzież on na litość Boga, jest krajcowany?

— Jakto gdzie? warknął ślusarz. Przecież ma kajlę na iberlaufie!

Zarumieniłem się po uszy i szepnąłem wstydliwie:

— Rzeczywiście. Nie zauważyłem, że na iberlaufie jest kajla. W takim razie — zwracam honor: bez holajzy ani rusz.

*

I poszedł po holajzę. Albowiem z powodu kajli na iberlaufie trychter rzeczywiście robiony był na szoner, nie zaś krajcowany, i bez holajzy w żaden sposób nie udałoby się zakrypować lochabajtel w celu udychtowania pufra i dania mu szprajcy przez lochowanie śtendra, aby roztrajbować ferszlus, który dlatego źle działa, że droselklapę tandetnie zablindowano i teraz ryksztosuje.

CUD Z KOMORNIKIEM

Upał był piekielny. Ze spopielałego nieba waliło, jak z piekarni, suchym, złowrogim żarem, niby natchnionym gniewem ognia przeciw rodzajowi ludzkiemu. Oazą w całem mieszkaniu był kąt, w którym stały dwa chłodne fotele skórzane t. zw. klubzesle, niski stolik, na nim woda z lodem i cytrynowym sokiem. Bezwładnie, nieomal nirwanicznie, drzemałem, pogrążony w marzeniu o burzy i deszczu, o nawałnicy i potopie. I oto rozwścieczone z żaru niebo zaczęło się chmurzyć, sinieć, liljowieć, coś zaczęło pomrukiwać i odgrażać się pod zziajanym stropem i zawiało pierwszą od tygodnia zapowiedzią burzy. Odetchnąłem. W tej samej chwili zadzwonił ktoś. Wstałem z fotelu szczęśliwy, lżejszy, pełen radosnego oczekiwania na bliską ulewę. Otworzyłem drzwi Wszedł jakiś starszy jegomość — czerwony, spocony, zdyszany, z teczką pod pachą i papierkiem w ręku. Wszedł i powiedział:

— Z urzędu skarbowego.

Huknął grom i grube krople powoli, jeszcze bez przekonania, bębnić zaczęły w szyby. Co za szczęście! Deszcz!

— Bardzo pana szanownego proszę! Niech pan pozwoli! Ale żar, co? Pan ledwo dyszy. No, ale dzięki Bogu, mamy deszcz. Proszę tutaj, na prawo.

Płonący, ciężko dyszący, ociekający potem, komornik rozejrzał się po pokoju. Potem powiedział:

— Mam tutaj tytuł wykonawczy... Pan nie zapłacił jeszcze podatku docho...

Przerwałem mu najuprzejmiej.

— Przedewszystkiem niech pan będzie łaskaw siąść i odpocząć. Niech się pan napije wody z lodem i cytryną. To bardzo orzeźwia.

Spojrzał na mnie nieufnie i skończył rozpoczęte zdanie:

— ... dochodowego za rok 1933.

Po niebie skakały pioruny, jak młode konie po łące. Deszcz padał strumieniami i od otwartego okna ciągnęło nieopisaną świeżością i chłodem. Boże, jaki ja byłem szczęśliwy!

— Niech pan siądzie. A napój świetny, prawda? Mój przyjaciel Kazio dolewa jeszcze czerwonego wina. Wtedy, mówię, panu, nektar! Szkoda, że nie mam w domu wina. Ale jest arak. Świetnie!

Podskoczyłem do kredensu, wyjąłem butelkę i dolałem do lodowatej wody trochę aromatycznego araku.

— Teraz niech pan spróbuje! Komornik wypił, podziękował, ale widziałem, że mu się to wszystko nie podoba.

— Tu jest tak: 620 złotych plus 10 proc. dodatku nadzwyczajnego plus...

Deszcz pluskał, aż serce rosło!

— Nie ma pan pojęcia, powiedziałem, do jakiego stopnia ubóstwiam deszcze. Zazdroszczę Noemu potopu! Niech pan pomyśli, panie egzekutorze: czterdzieści dni ulewy! Skwar, przyznam się panu, działa na mnie rozklejająco. Gubię się w gorącu.

Za to deszcz, te srebrne strugi z nieba, budzą we mnie jakąś rzeźkość, młodzieńczość, radość i poprostu entuzjazm! Czy pan da wiarę, że w zeszłym roku...

Komornik popatrzył spodełba, chrząknął, przerywając moje radosne wywody i rzekł:

— ... plus suma kar za zwłokę do dnia 10 lipca r. b. Razem...

— Tak jest, wtrąciłem szybko. Otóż w zeszłym roku w ciągu jednego deszczowego tygodnia napisałem blisko dwadzieścia utworów lirycznych, przez całą zaś resztę upalnego lata — dwa czy trzy. Nie wiem, czy pan czytał te wiersze? „Woda z nieba" — taki jest tytuł tomu. Zarzucają mi wpływ Paul'a Valéry. Śmieszne! A propos: co pan sądzi o tym poecie?

I nalałem mu drugą szklankę zimnej wody z wonnym arakiem.

Komornik znowu chrząknął i wycedził:

— To, proszę pana, nic do sprawy niema. I wogóle muszę panu powiedzieć, że zachowanie pańskie jest raczej niestosowne. Jakieś żarciki, uprzejmości... To mi wygląda na kpiny.

Zrobiłem wielkie oczy i rzekłem:

— Ależ, panie egzekutorze! Dlaczego kpiny? Dlaczego żarciki? Jestem poprostu w świetnym nastroju, a będąc wogóle człowiekiem uprzejmym, prowadzę z panem miłą rozmowę i na tem koniec. Dlaczego żarciki?

— Dlatego, że pan mnie chce zagadać. Ale my się na tem znamy, panie.

Niebo szalało. Wszystkie prysznice, natryski, fontanny, krany, sikawki i inne wodotryski przeniosły się na niebiosa i tryskały taką rzęsistą obfitością, że ulicami płynęły wzburzone rzeki. Szalałem ze szczęścia!

— I dlatego, ciągnął komornik, wypraszam sobie wszelkie „Wody z nieba“ i Walerego, a zawiadamiam pana, że należy się razem złotych 776 i groszy 48.

Zacząłem szybko liczyć:

— Siedem i siedem czternaście — i sześć — dwadzieścia — i cztery — dwadzieścia cztery — i osiem — trzydzieści dwa. Świetnie. Szczęśliwa liczba. Czy pan wierzy w mistykę liczb? Ja specjalnie lubię czwórkę i wszelkie wielokrotne od niej, dlatego liczba 32 jest mi specjalnie bliska. Uczony niemiecki Bischoff w dziele „Die Magie der Zahlen“ powiada, że...

Czerwony do niedawna komornik zzieleniał i trzasnął ręką w stół:

— Powiedziałem już panu, żeby mi głowy nie zawracać! Tutaj żadnej magji, panie, niema. Należy się 776 złotych i 48 groszy. Płaci pan?

Zamilkłem. Przez kilka chwil hypnotycznie wpatrywałem się w oczy komornika, wreszcie cicho i dobitnie szepnąłem:

— Płacę.

Komornik widocznie nie dosłyszał, bo powiedział:

— Pytam się wyraźnie, po polsku, czy pan płaci?

— A ja odpowiadam wyraźnie, po polsku: Tak! Płacę.

— Jakto?

— No zwyczajnie. Należy się 776 złotych i 48 groszy, pan przyszedł po tę sumę, a ja panu ją wpłacam.

Lipy, czeremchy, akacje, jaśminy, bzy, maciejka, lewkonje, róże — wszystko najwonniejsze zespoliło się w jeden słodki, świeży aromat i pełną, upojną falą biło z otwartego okna. Zieleń lśniła, cała w klejnotach deszczowych kropel. O, jakże mi było dobrze!

Komornik skręcał się na fotelu.

— Panie Szumski — krzyknął — jeżeli pan w tej chwili nie przestanie żartować, będzie pan odpowiadać za obrazę urzędnika! Pytam się po raz ostatni: płaci pan?

Spokojnie, z niewysłowionym uśmiechem, wyjąłem z szuflady 776 złotych i 48 groszy, położyłem na stole i rzekłem:

— Płacę. Oto są pieniądze.

Olbrzymi łuk tęczy spiął zenit nieba z centrum ziemi (sic!).

Komornik wciągnął głowę między ramiona i przez zacięte zęby zasyczał:

— Dosssyć Dosssyć!

Przyznam się, że mrowie strachu przebiegło mi po plecach na ten widok.

— Co się stało? — wybełkotałem. — Dlaczego pan się tak trzęsie, panie egzekutorze?

Za oknem było już cicho i pogodnie, świeżo i przewiewnie. Ale za to w pokoju wybuchła burza.

— Dlaczego?! — ryczał komornik — dlaczego?!

Bo jak pan śmie?! Kto pana upoważnił? Pan myśli, panie Szumski, że panu tak bezkarnie wolno drwić z biednego, starego, steranego ciężką pracą komornika?

— Kto drwi, najmilszy? Skąd takie posądzenie?

— Jakto? — wył — jakto? Przychodzę — wita mnie pan wesoło, z uśmiechem, z szatańską uprzejmością! Prosi pan, żebym usiadł! Częstuje mnie pan orzeźwiającym napojem, którego tak bardzo byłem spragniony, mówi pan ze mną o jakichś wierszach — dobrze, wszystko zniosłem, bo myślałem, że mnie pan chce zagadać. Ale po tem wszystkiem — pan płaci! Pan doprawdy płaci! Żywą gotówką! Bez próśb rozłożenia na raty, o przesunięcie terminu, o zwłokę choćby dwutygodniową! Płaci, bezczelny! Płaci, zbrodniarz! Na stół kładzie pieniądze! Dwadzieścia trzy lata jestem komornikiem i nikt mnie jeszcze tak okrutnie nie potraktował! Szumski jesteś? Bydlę jesteś! Na kolana! Błagaj, proś, tarzaj się! W tej chwili zaproponuj, że wpłacisz dziś sto złotych, a resztę w ratach miesięcznych!

Klęcząc, krzyczałem:

— Nie! Zapłacę dziś wszystko co do grosza! Może pan pozwoli cygarko, panie egzekutorze!

Wtedy — czy z apokaliptycznego sufitu strzelił straszliwy grom? Nie! To był krzyk komornika, który padł, rażony Piorunem Dziwu.

I w tej samej chwili wytrysnęły mu z ramion białe, anielskie skrzydła, wyfrunął przez okno i wzniósł się, biedny i umęczony, na wysokości Twoje, o Wiekuisty!

Daj mu miejsce po prawicy tronu swojego.

Ja zaś, śledząc lot jego w lazury, piję arak, już bez wody, i pełną piersią chłonę ozon odrodzonego po burzy świata.

SPIS RZECZY

1

Str.

Poeto! 3
Pamięci poety 4
Spleen 5
Błaganie 7
Dyskusja 9
Pierwsza kolacja w pensjonacie 10
Semi-Eros 12
Wielki traktament dla mędrca Tadeusza Boy'a 15
Na zbytnie a niepowściągliwe dziwkochwalstwo naszego wieku . 18
Podświadomość 20
Sic! 22
Kartka z dziejów ludzkości 24
Szatnia teatralna 26
Plakat prowincjonalny 28
Bezdomna 29
Banalna historja 30
Zośka-warjatka 32
Nóż 37
Miłosierdzie 39
Auto 42
Deszczyk 43
Burza 44
Chłopiec stepowy 45
Giełdziarze 49
Bank 51
Anonimowe mocarstwo 52
Przed Paryżem 53
Parademarsz 57
Rewolucja w Niemczech 61
Rodowód 66
Do autorów dramatycznych 69
O St. P. 71
O jednym 73
Jan Niemuniepomoże Miller 74
O Adolfie 76
O „Gazecie Warszawskiej" 81

Str.

O pewnym pieńku 83
Współczesna oda 84
Na potwarców 85
Mój dzionek 87
Protest 89
Demon 91
Djak 94
Zapomniana wieś 96
Tak, bracie... 98
Ça ira 100
Pif - Paf! 102
„Popierajcie L. O. P. P.“ 105
Maskarada 107
Stop! 110
Piosneczka 115
Och, żeby tak... 117
Pycha 118
W cukierni 119
I głupcom... 120
Ballada starofrancuska 121
Le style c'est l'homme 123
Jak Bolesław Leśmian napisałby wierszyk — „Wlazł kotek na płotek“ 128
Sprzeczka z żoną 129
Bogobojnej macierzy polskiej z córką satanistką dyskurs . . . 131
Żaby łacinniczki 133
Z Iljady 134
Powody 136
Poeta, siedząc w oknie baru na Nowym Świecie, obserwuje ożywiony ruch samochodów 138
Eia, eia, alala! 141
Bracia 143
„Mein Liebchen, was willst du noch mehr?“ 144
Wieniawa 146
Kosteź 148
Skrót „Wesela“ St. Wyspiańskiego w jednem zapytaniu i 17 odpowiedziach 151
Trzy bajki Koźmy Prutkowa 152
Grenada 153
Dnieprostroj 157
Łódź 161
Rewanż sentymentalny 164

Str.
Minister i sztuka 165
Adwokaci 166
Sześć fraszek 167

2
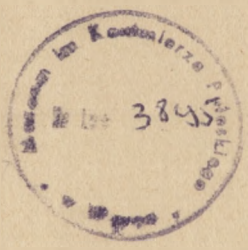
Z notatnika nerwowca 171
Kinochamy 176
Dzieje pewnego aforyzmu 180
P. U. R. S. 184
Słowiczek 187
Z listów do redakcji „Poradnika Rasowego" 189
O znajomych 191
O kelnerach 195
O wizytach 200
Kalamburzyści, czyli męki tworzenia dowcipów 205
Wywiad 209
Ślusarz 214
Cud z komornikiem 217